MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 40 WARSZAWA, 27 WRZEŚNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

AKCJA UZDROWIENIA NARODOWEGO

W dwudziestą rocznicę śmierci ś. p. ZYGMUNTA BALICKIEGO podajemy (w streszczeniu) rozprawę tego znakomitego myśliciela, publicysty i działacza, aby przemówił, jak żywy, w kwestii jaknajbardziej dziś żywotnej.

I

AKCJA popierania handlu swojskiego odbywa się pod hasłem bojkotu w nim żydów, żadna bowiem agitacja, powołująca do czynu społecznego szerokie masy ludności, bez hasła wskazującego wyraźnie i bezpośrednio, co czynić należy, obejść się nie może. Mylą się atoli również ci wszyscy, co do hasła tego, będącego tylko środkiem, usiłują sprowadzić ruch cały, posiadający cele o wiele rozleglejsze, z których nie wszyscy współdziałający zdają sobie być może dokładnie sprawę, ale który wszyscy odczuwają w sposób przynajmniej częściowy.

Rozstrzygają się tu ni mniej ni więcej tylko trzy zasadnicze, dziejowej doniosłości i pierwszorzędnego dla narodu naszego kwestie: 1) Sprawa powstania czysto polskiego stanu średniego, zdolnego pełnić samodzielnie i w całości wszystkie przywiązane do tego stanu funkcje, a zarazem unarodowienia i spolszczenia miast naszych; 2) Sprawa żydowska jako taka, istniejąca wszędzie, gdzie się nagromadzili żydzi w większej ilości i wywierają swój wpływ swoisty na życie narodu, na którym się usadowili, u nas zaś spotęgowana do rozmiarów kwestii przyszłości naszego narodu; 3) Sprawa naszej niezależności duchowej, a więc zachowania i ustrzeżenia od rozkładu lub zwyrodnienia typu duszy narodowej polskiej. Nadto w walce o takie zdobycze nabywa społeczeństwo zalet, których nie posiadało, osiąga zyski gospodarcze i pogłębia swój patriotyzm, co już jest następstwem akcji głównej, dodatkowymi i ubocznymi jej skutkami.

O braku silnego stanu trzeciego — mieszczaństwa — w Rzeczypospolitej, jako o jednej z głównych przyczyn jej słabości, a następnie zwyrodnienia jej ustroju, pisano dosyć, aby się nad tym punktem dłużej zatrzymywać.

Przed wypadkami 1863 r., gdy znaczenie polityczne szlachty topniało w oczach, a lud uzyskiwał dopiero pełnię praw cywilnych, kwestia braku rodzimego mieszczaństwa polskiego wystąpiła w poczuciu ogółu jako zagadnienie przyszłego bytu narodu, zwłaszcza że zachodni demokratyzm mieszczański rzucał hasła, dające kamerton opinii. Chwycono się metody uproszczonej: chciano stworzyć fikcję istnienia mieszczaństwa polskiego przez ogłoszenie żydów za żywioł posiadający pełnię praw obywatelskich, a powołany w zamian do spełnienia roli politycznej, która z natury rzeczy winna była w tym okresie przypaść mieszczaństwu w udziele. Tem się tylko tłumaczy nagły, całe społeczeństwo ogarniający prąd w kierunku równouprawnienia żydów i uznania ich za nieodłączny składnik społeczeństwa polskiego, prąd któremu Wielopolski raczej uległ niż go zapoczątkował. Żydzi przyjęli oczywiście z radością ofiarowane im za darmo prawa. Wcielono ich symbolicznie do organizmu narodowego przez udzielenie im miejsca w „delegacji obywatelskiej", oni też na frazesy odpowiedzieli frazesami, a na symbol — symbolem: udziałem nielicznych jednostek w ruchu narodowym, obok zupełnej bierności, a nawet wrogiego stanowiska mas.

Nowo kreowane na poczekaniu „mieszczaństwo polskie" wyzyskało umiejętnie włożone mu w rękę atuty. Żydzi nie spotykali już przeszkód w zajmowaniu wszystkich placówek, które były do zajęcia, wiele też z nich, stworzonych przez opiekę państwową Królestwa Kongresowego i prywatną inicjatywę jednostek, zagarnęli w swoje ręce. Po powstaniowy prąd liberalny, jak poprzednio demokra-

tyczny, dawał im z góry patent na polskość. Nie wywołał nawet otrzeźwienia społeczeństwa polskiego memoriał warszawskiego Komitetu Giełdowego z 1887 r., który tę polskość sprzedawał za cenę rządowego poparcia, ani stanowisko burżuazji żydowskiej, sympatyzującej jawnie z prądami kosmopolitycznymi i antynarodowymi, ani nawet rola żydów w wypadkach 1905 — 6 roku, której znaczenie stopniowo wyjaśniało się w opinii. Dopiero parokrotne wybory do Dumy państwowej, a zwłaszcza sprawa samorządu miejskiego, ujawniły zbyt już dosadnie, nawet dla kół pozostających pod wpływami żydowskimi, że miasta nasze są w rękach żydów, że zamożne „mieszczaństwo" nie tylko nie jest polskim, ale wykazuje tendencje wręcz wrogie polskości i interesom narodu, gdy tylko wchodzą one w drogę interesom żydowskim.

II

Drugą kwestią, która stanęła przed nami równocześnie z pierwszą, lecz stanowi jej odrębne oblicze, nie pokrywające się ze sprawą polskiego mieszczaństwa, jest kwestia żydowska w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jeżeli występuje ona w krajach, posiadających nieznaczną tylko odsetkę ludności żydowskiej w swym łonie, to u nas, gdzie się żydzi stłoczyli w masie blisko dwu miljonowej, stanowiącej 15 procent mieszkańców, stanowić ona musi sama przez się jedno z najpoważniejszych zagadnień bytu narodowego.

Kwestia żydowska istnieć może tak długo w stanie ukrytym, potencjalnym niejako, dopóki żydzi są skonsygnowani w ghettach, jeżeli nie terytorialnych, to społecznych, ekonomicznych, kulturalnych i towarzyskich, występuje natomiast na widownię i zaostrza się stopniowo wszędzie, gdzie żydzi zaczynają się mieszać ze społeczeństwem miejscowym i brać czynny udział w jego życiu; wtedy bowiem ujawnia się rozkładowy ich wpływ na to życie, a wybuch jawnych przeciwieństw staje się tylko kwestią czasu, mianowicie chwili, w której żywioł miejscowy poczyna sobie zdawać sprawę z tego, że w organiźmie jego tkwi obce ciało którego rozpuścić i pochłonąć nie podobna i które musi być z tego organizmu usunięte. Ghetto zostało u nas przełamane przed laty 50 jeszcze, i trzeba było pół wieku na to, aby sztucznie podtrzymywane zaślepienie społeczeństwa na punkcie istnienia kwestii żydowskiej zakończyło się wreszcie jasnym spojrzeniem w twarz rzeczywistości.

Tak długie zamykanie oczu na niebezpieczeństwo zawdzięczać należy złudzeniem asymilatorskim, które logicznie wypływały z przesłanek, zbudowanych sztucznie w okresie równouprawnienia żydów. Wymagania ze strony polskiej obniżały się w tym względzie w miarę wzrostu wpływów żydowskich. Co najważniejsza, że tych żydów, których uznano za zasymilowanych, a którzy się właściwie za takich podawali, poczęto uważać za Polaków bez zastrzeżeń, a szerzone przez nich sądy, pojęcia i opinie składać na karb społeczeństwa polskiego. Dzięki temu jedynie istnienie kwestii żydowskiej, która wciskała się do wszystkich spraw życia narodowego i sama wołała o swym istnieniu, mogło przez czas tak długi być ignorowane, a nawet wprost zaprzeczane.

Równolegle masy żydowskie ogarniało nie tylko coraz to żywsze i bardziej świadome poczucie swej odrębności od miejscowego społeczeństwa, ale rozwinął się wśród nich prąd w kierunku powiększenia tej odrębności przez ogłoszenie żargonu niemieckiego za język „narodowy" i roszczenie pretensyj do praw, przysługującym narodom historycznym w krajach o ludności mieszanej.

Społeczeństwo polskie ocknęło się nagle i zrozumiało, że ma w swym łonie 15 procent żywiołu, który mu z gruntu obcy, za taki się uznaje i zajmuje wobec niego stanowisko mniej lub więcej jawnie wrogie. Opinia opatrzyła się po niewczasie, że ów wrogi żywioł zdołał zagarnąć w swe ręce najważniejsze placówki życia gospodarczego kraju, bo cały niemal handel, regulowanie wielkiego obrotu kredytowego, pośrednictwo we wszelkich formach, znaczną część przemysłu i drobnych rzemiosł, że wreszcie bogactwo pieniężne w kraju w jego przeważnie skupiło się ręku. W czasach obecnych, gdy bogactwo jest jednym z górujących czynników władzy i wpływów politycznych, ta przewaga żydów grozi bezpośrednio tym, że Polacy mogą w krótkim czasie przestać być gospodarzami na własnej ziemi i to bezpośrednio lub pośrednio we wszystkich dziedzinach życia publicznego.

Niestosunkowo wielki wzrost żywiołu żydowskiego w Królestwie, który do czasu tłumaczono sobie sztucznym jego napływem zzewnątrz, znalazł inne, prostsze wyjaśnienie. Wystarczyło zdać sobie sprawę, że od lat 30 straciliśmy niewątpliwie do trzech milionów ludności przez wychodtźwo ekonomiczne, przeważnie za ocean. Chłop i rzemieślnik polski wędruje czasowo lub na zawsze na obczyznę, bo nie znajduje we własnym kraju naturalnego pola pracy, jakim są gdzie indziej miasta, ze swym wzrastającym przemysłem i handlem. Miasta są w ręku żydów, a ci napływają wciąż, sprowadzając swoich współwyznawców, rugują ludność polską i zmuszają do emigracji, która tak dla nich korzystnie zastępuje emigrację żydów. W tych warunkach o zmniejszeniu się odsetki żywiołu żydowskiego nie może być mowy, może się tylko zmniejszać odsetka żywiołu polskiego.

III

Nie należy się jednak łudzić, że kwestię żydowską wyczerpuje nadmiar ludności obcej, skupienie handlu w jej ręku i niemożność jej zasymilowania. Istnieje u nas w całej pełni kwestia żydów t. zw. zasymilowanych, jak istnieje ona również we Francji i w innych krajach, w stopniu mniej lub więcej wyraźnym. Jak tamta zagraża zdrowiu fizycznego organizmu społeczeństwa, normalnym stosunkom w jego życiu gospodarczym, tak samo ta godzi w duszę narodu, w jego typ duchowy i niezależność wewnętrzną.

Jest to już utartym pewnikiem, że psychika żydowska działa na aryjską rozkładowo. Ale pewnik ten zdobyło sobie społeczenstwo nasze dopiero na podstawie smutnego doświadczenia wypadków 1905 — 6 roku, to jest wtedy gdy prawdziwe szczerby w naszej duchowości były już poczynione. W okresie po powstaniowej sielanki polsko-żydowskiej, społeczeństwo nasze w Królestwie uległo stopniowemu zburzeniu — wśród sfer kulturalnie wyższych — swych wierzeń religijnych, dalej poszanowania tradycji, wreszcie patriotyzmu, aż do poczucia narodowego, które topiono w ot-

wartym kosmopolityzmie. Wszystkie te prądy rozkładowe zostały przybrane — nie tylko u nas zresztą — w ponętne dla żądnych nowinek umysłów hasła socjalizmu, postępu i wolnomyślności, a opinia widziała w tem jakieś nie uzasadnione przesłankami przeszłości, nie wytłumaczone zwroty w kierunkach umysłowych własnego społeczeństwa i, czując instyktowo grożące z tej strony niebezpieczeństwo, nie umiała sobie z nim poradzić, bo nie była zdolna dociec jego źródła. Przewodnikami, rozprowadzającymi te prądy po duszy narodu, byli „Polacy mojżeszowego wyznania", „obywatele przechrzty" radykalnego pokroju, żydzi „zasymilowani" lub świeżo wychrzczeni, wreszcie Polacy od drugiego czy trzeciego pokolenia. Znajdowali oni zawsze gorliwych wyznawców i obrońców wśród Polaków już zżydziałych duchowo w ciągłym z nimi obcowaniu. Gdy „Przegląd Wszechpolski" nazwał ich w swoim czasie „półpolakami", oburzano się jeszcze na tworzenie tej pośredniej kategorii między Polakami, a niepolakami, twierdząc, że pierwszymi są wszyscy, którzy się za takich uznają.

Pomimo wszystko, prąd kosmopolityczny ostać się nie mógł wobec wzrostu samowiedzy narodowej i został skonsygnowany w sferach mniej lub więcej wyraźnie żydowskich. „Robienie w tym interesie" nie rokowało już powodzenia, a przy tym przecinało możność wywierania szerszego i skuteczniejszego wpływu. Wtedy operujący wśród społeczeństwa polskiego żydzi przystosowali się szybko do jego nastroju i poczęli „robić w patrjotyźmie", aby móc wywierać wpływ na politykę narodową polską i skierowywać ją tak, aby szła zgodnie z duchem i interesami judaizmu. I nie wiadomo kto wywierał wpływ bardziej rozkładowy i niebezpieczny — Mendelsohnowie, Kohnowie i Krzywiccy, którzy otwarcie w swoim czasie szerzyli kosmopolityzm, odsłaniając swe karty, czy tacy jak Feldman i Tobiasz Aschkenase (że wymienię tylko zakordonowych), którzy prowadzą agitację powstańczą i obnoszą po placach publicznych radykalno-narodowe hasła.

Pod wpływem natchnień duszy żydowskiej zaznacza się u nas od pewnego czasu kierunek, którego cechą charakterystyczną jest krzykliwy i nietolerancyjny szowinizm, przelicytowujący wszystkich i wszystko w swym radykaliźmie, a pozbawiony rzeczywistego patriotyzmu, t. j. prawdziwej troski o realne dobro narodu i poczucia odpowiedzialności za następstwa „nieprzejednanych" stanowisk i czynów. Jest to ta sama dusza żydowska, która się przejawia w socjaliźmie, tylko zastępuje walkę klas przez walkę polityczną, wypowiadaną również przedewszystkim tej części społeczeństwa, która nie chce uledz jej wskazaniom*). Kto czytał Flawiusza dzieje zdobycia Jerozolimy przez Tytusa**), temu nie może nie stanąć żywo przed oczyma podobieństwo duchowe tego kierunku z ówczesnym stronnictwem „gorliwców", które przelicytowywało zawsze wszystkich w radykaliźmie nienawiści do Rzymian, było tym bardziej nieprzejednane, im więcej zyskać można było na umiarkowaniu, wszędzie wietrzyło zdradę, walczyło przeciwko swoim z większą zaciekłością niż przeciw wrogom, mściło się gwałtem i podstępem, usuwało skrytobójstwem nie wygodne jednostki, a wreszcie swymi ekscesami zmusiło niejako Tytusa do zburzenia Jerozolimy. Miały u nas swych „gorliwców" zamieszki ostatnie, ma ich — utemperowanych nieco w czasach spokoju — i obecny kierunek narodowy w formie rzekomo patriotycznej opozycji, która mu się na każdym kroku przeciwstawia. Gra w tych szeregach mniej lub więcej rozcieńczana krew żydowska, bo fanatyzm, wyłączność, negacja, krańcowość, zacietrzewienie i histeria są nieodłącznymi jej cechami. Gdzie nie dociera bezpośredni wpływ osób, przerabiających patriotyzm polski na modłę żydowską, tam działa literatura, wreszcie atmosfera podszytej formułami demagogii i we wszystkich kierunkach przejawiającego się fanatyzmu.

Na innym miejscu podniosłem fakt, że wpływ umysłowości i temperamentu żydowskiego paczy systematycznie w naszym społeczeństwie normalny rozwój myśli politycznej, że żydzi, jako rasa bezpaństwowa w dziejach swoich są do polityki nie zdolni i tę nieudolność swą szerzą wśród naszego ogółu, o ile ich wpływom ulega. „Gorliwcy" z czasów zburzenia Jerozolimy i nasi „gorliwcy" spółcześni — to tenże sam typ, tylko przeniesiony w inne czasy i w inne środowisko. Socjalizm, przesiąknięty nawskroś duchem żydowskim, stanowi między nimi ogniwo pośrednie. Wspólne ich cechy dadzą się sprowadzić do takich wskazań, jak „podcinanie gałęzi na której się siedzi", jak używanie środków, niweczących sam cel, do którego prowadzić miały, lub szkodzenie sobie dla dokuczania przeciwnikowi, a to wszystko połączone z zupełną niezdolnością do wyprowadzenia nauk i wniosków z własnych doświadczeń przeszłości. Jeżeli żydzi w ciągu wieków całych niczego się nie nauczyli, to dziwić się nie można, że podobną właściwość swych metod politycznych szczepią i wśród naszego społeczeństwa.

Obok instynktowych, wypływających niejako z ducha rasy i ze swych właściwości psychicznych, sposobów myślenia i działania, żydzi szerzą nadto wśród nas wpływy, zmierzające celowo do popierania naszymi rękami swoich własnych interesów. Posiadają oni pewne wskazania polityczne, wspólne dla rozproszonego po całym świecie żydostwa, nie skomplikowane zresztą i wypływające z zasadniczych popędów jego charakteru, jak nienawiść i mściwość, unikające walki otwartej, a korzące się pozornie przed siłą.

W takich warunkach polityka narodowa polska, trudniejsza i bardziej skomplikowana niż jakakolwiek inna, ma do zwalczania nie tylko przeszkody zewnętrzne, nie tylko opozycję, naturalną zresztą, wypływająca z odmiennego pojmowania zadań bieżących, ale nadto ukryte sprężyny obcych jej celów, siejące nienawiść, walkę wewnętrzną i rozdwojenia w łonie samego społeczeństwa polskiego.

Jeżeli po wypadkach 1905 roku i później — jak sułsznie zauważono — „człowiek stał się u nas człowiekowi wilkiem", jeżeli antagonizmy wewnętrzne rozrosły się do niebywałych rozmiarów, a środki walk politycznych przeszły wszystko, co dotychczas u nas widziano — to nie było to nic innego, jak kulminacyjny punkt wpływu ducho-

*) Mowa o haśle „niepodległości", puszczonym wówczas w grę agitacji przedwojennej i o wmawianiu w opinię, że obóz narodowy nie chce niepodległości. Operują tym oszustwem jeszcze dzisiaj historycy tego ruchu. Autor dyskretnie tę sprawę poruszył ze względu na cenzurę rosyjską. Red.

**) Józef Flawiusz: „Dzieje wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom". Tłum. Andrzej Niemojewski Warszawa, 1906.

wości żydowskiej na liczne odłamy naszego społeczeństwa i wplątanie się czynne interesów żydowskich w nasze sprawy wewnętrzne. Rzecz znamienna, że z chwilą, gdy wpływy te zostały nagle przerwane, a gra interesów wyprowadzona na światło, z chwilą rzucenia i przyjęcia się hasła bojkotu żydów, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej antagonizmy wewnętrzne nagle przycichły, wśród całego społeczeństwa — od góry do dołu — powiał jakiś prąd solidarności wewnętrznej i życzliwości wzajemnej, chęć pomagania sobie zobopólnie zapanowała nad chęcią szkodzenia innym, — jak gdyby ząb bolący został nagle wyrwany. I tylko w tych sferach, w których wpływy żydowskie i antyżydowskie ścierają się bezpośrednio ze sobą, jak np. w sferach postępowych i socjalistycznych, antagonizmy dawnego typu wybuchają na tle tej właśnie sprawy z siłą ostatecznego przesilenia. Można by powiedzieć, że hasło bojkotu gra tu rolę egzorcyzmu, wypędzającego diabła z chorego na opętanie żydowskie naszego organizmu społecznego.

Podobnie jak w dziedzinie społecznej i ekonomicznej, tak samo w dziedzinie politycznej i duchowej, ujęcie w karby izolacyjne i zamknięcie w ghetto wpływów żydowskich jest koniecznym warunkiem naszego uzdrowienia narodowego.

IV

Wkraczamy w okres nowych wskazań narodowych i nowych praw, obowiązujących w życiu obywatelskim. Jedne i drugie dopiero drogę utorować sobie muszą, aby stały się przykazaniami, ściśle wypełnianymi przez wszystkich, pod grozą takiej sankcji, jakiej podlega sprzedawczykostwo w zaborze pruskim. Będzie to prawdziwym odrodzeniem naszego patriotyzmu, gdy przestaniemy go sprowadzać do wielkich haseł, maskujących często jałowość ducha i bezpłodność czynu, wypełnimy go zaś nadto treścią codziennych ale powszechnych obowiązków. Pełnienie ich jest już czynem zbiorowym, a tylko z szeregu płodnych czynów składają się wielkie zamierzenia.

Jeżeli zdamy sobie sprawę z dziejowej doniosłości takich zadań, jak stworzenie silnego i samoistnego polskiego stanu średniego, wejście na drogę stopniowego rozwiązywania kwestii żydowskiej i ochrona naszej niezależności duchowej przed wpływami obcymi a rozkładowymi — uznać będziemy zmuszeni, że poza hasłem bojkotu ekonomicznego żydów w Królestwie kryją się pierwszorzędne zagadnienia naszego bytu i naszej przyszłości. Wobec nich maleją do nikłych rozmiarów względy osobisto-utylitarne, trudności w rozwiązywaniu wątpliwości praktycznych, nieuniknione ofiary, a nawet być może pomimowolne niesprawiedliwości wobec jednostek. Jeżeli bezwzględność jest siłą każdego prądu, to nie ma niewątpliwie na naszym gruncie bezwzględności bardziej wytłumaczonej i uzasadnionej. Podczas gdy dla żydów przegrana grozi tylko usunięciem im się spod nóg ziemi, która miała dopiero stać się ziemią obiecaną, w niczym natomiast nie godzi w indywidualność żydostwa jako takiego, dla nas przegrana równa się usunięciu spod nóg ziemi ojczystej i grozi zatratą naszej indywidualności narodowej. Świadomość wagi stawianych w tej grze wartości powinna rozstrzygnąć o zwycięstwie.

ZYGMUNT BALICKI

KSIĄŻKA O „UMIARKOWANYCH“

„LES MODÉRÉS“, ostatnia książka Abela Bonnard z Akademii francuskiej daje lepiej poznać przyczyny trwania III-ej republiki francuskiej i jej naturę, niż „*La Troisième république*“ J. Bainville'a. Według Bainville'a przyczyną trwania III-ej republiki jest z jednej strony elastyczność grupy rządowej, która dla zachowania systemu nie upiera się przy osobach i zmienia je w myśl koniunktury, z drugiej zaś strony — poprostu przypadek, szczęście losowe. Ostatnie dwie książki Bainville'a („*La Troisième république*“ i „*Les dictateurs*") są trochę oportunistyczne, trochę płytkie, a zbyt śmiałe, zbyt mało uzasadnione niektóre konkluzje autora wytłomaczyć zapewne można chorobą nieuleczalną, o której nieuchronnym wyniku autor dobrze wiedział. Inaczej z ostatnią książką znajdującego się dziś w pełni sił Bonnard'a; jeżeli Ludwik XVIII oświadczył w roku 1814, że broszura Châteaubriand'a „*De Buonaparte et des Bourbons*“, napisana w owym czasie, „*vaut une armé*“, to można powiedzieć, że „*Les modérés*" Bonnard'a to pocisk z olbrzymiego i precyzyjnego działa. Istnienie we Francji republiki tłumaczy Bonnard abdykacją większej części społeczeństwa, a w szczególności warstw oświeconych, posiadających, przez krew i maerjalne dobra związanych z przeszłością.

Gdy Thiers rzucił frazes: „Republika jest to ustrój, który nas najmniej dzieli“ i dodał „Republika będzie konserwatywna albo jej nie będzie“ można mu było już wtedy odpowiedzieć tak, jak odpowiada Abel Bonnard: Każdy ustrój polityczny ma, stwierdza autor, pewną zawartość ideowa i uczuciową, która zmusza go działać w określonym, odpowiadającym jego naturze, kierunku; republika fracuska jest ustrojem zrodzonym wśród niezgody i z duszą stronniczą, zmienić się jej nie da i „pomimo koniecznych ostrożności i powierzchownego złagodzenia jest T r z e c i a r e p u b l i k a d a l s z y m c i ą g i e m a l b o o d r o d z e n i e m P i e r w s z e j: oddala się od rzeczywistości przez te same złudzenia i przyczepia się do niej tymi samymi namiętnościami“. Umiarkowani zgodzili się na republikę w r. 1875, przypuszczając, że Thiers dobrze przepowiada, ale nie rozumieli, pisze Bonnard, że „pierwszy realizm w polityce polega na znajomości demonów ukrytych w słowach“; republika stworzyła dwoistość w „umiarkowanych“: z jednej strony jest ich krew, kultura, odziedziczone dobra, a z drugiej strony ich „przekonania“ republikańskie, oparte na doktrynach zwalczających wszelkie moralne i materialne związki z Francją przedrewolucyjną. Renan konstatował to samo w r. 1872 *(La rèforme intellectuelle et morale“)*, podobnież Tai-

ne (*„Les origines de la France contemporaine“*), Maurras i *„Action Française“* głoszą to od czasu afery Dreyfusa, ale najznamienniejsze jest stwierdzenie przeciwieństwa między Francją przed — i porewolucyjną, między Francją rzeczywistą, i Francją legalną, między Francją *tout court* i republiką francuską w roku 1936 przez tak reprezentatywne jednostki jak b. premjer André Tardieu (*„Sur la pente“* i *„Le souverain captif“*) i akademik Bonnard. Jako kontynuacja Pierwszej jest, jego zdaniem Trzecia republika okupacją kraju przez partię; do tej partji, której przodkami są jakobini, nigdy „umiarkowani“ nie wejdą; nie zostaną do niej dopuszczeni, bo ani związków krwi nie usuną, ani kultury starofrancuskiej pozbyć się nie mogą, ani swego stanu posiadania wyrzec się nie chcą.

Nic lepiej nie charakteryzuje myśli autora, jak porównanie „umiarkowanego” z „reakcjonistą“, człowiekiem, który albo pozostał, albo nawet stał się ideowcem wyznającym zasady, dzięki którym powstała zachodnio-europejska chrześcijańska cywilizacja. „Umiarkowany“ to człowiek dumny z siebie, gdy „reakcjonista“ dumny jest jako przedstawiciel czczonych przez siebie ideałów; „umiarkowany“ to kulturalnie bibelot, rzecz sama w sobie bez związku z otoczeniem, tymczasem „reakcjonista“ to jakby odłamek gmachu, dający pojęcie o całości architektonicznej; „umiarkowany“ choć ma własne domy, majątki, żyje jak w oberży, tak stara się przystosować do obcych, do cudzych, gdy tymczasem „reakcjonista“ mieszka w ruinie, ale w swojej własnej, u siebie. Głębokość upadku moralnego, pisze Bonnard, stwierdza się zauważając, że ludzi oceniają dziś we Francji nie według stopnia ich uczciwości albo mądrości, lecz „inteligencji“ w znaczeniu nie wiedzy czy rozsądku, lecz zręczności, zdolności „urządzenia się“. Otóż według „umiarkowanego” zasługuje „reakcjonista“ na pogardę, gdyż rzeczą „nieinteligentną“ jest być monarchistą, a za to „inteligentnie” być radykałem lub socjalistą; nic dziwnego, że wobec rozpowszechnienia się takiego poglądu zarówno w salonach, jak i w fabrykach, „spotkało Francję najboleśniejsze nieszczęście, które może dotknąć wielki naród: pobudzając ją do nieznajomości samej siebie, zrobiono z niej kraj przerwany *(un pays interrompu)*, naród zaciekle zwalczający siebie *(un peuple archarné contre soi)*”.

Z ironią osądza Bonnard taktykę „umiarkowanych”, którzy nie chcą rozumieć, że rewolucja jest jednym blokiem, głoszą, iż są spadkobiercami nie roku 1793 lecz 1789 i że trzeba kroczyć między „ekcesami” z prawa i lewa. Bonnard przytacza, że jeden „umiarkowany” nazwał się kiedyś na trybunie parlamentarnej „żyrondystą”; w czem poczuwał się do pokrewieństwa z żyrondystami? — imponowali mu żyrondyści swoją tragiczną śmiercią. „Umiarkowanym” nie brak o d w a g i, lecz nie mają e n e r g i i; nie mają poczucia słuszności swojej racji bytu, boją się zwycięstwa, nie wiedzieliby co z nim zrobić. Tym ludziom kulturalnym, nie mogącym się wyzbyć swej kultury, imponują męczennicy (którymi by może sami potrafili być) i kaci czy pogromcy (którymi by sami nie potrafili zostać); za dobrą taktykę uznają „umiarkowani” choćby poniżające ich pochwały od przeciwników i zginanie się przed prostactwem jako rzeczą „realną”. Przy tym wszystkim krótkowzroczność, uważana przez nich za zaletę; doprowadzi to ich, jak wyraża się Bonnard, że będą u wrót innego świata sądząc, że są przed drzwiami nowego ministerium. Właśnie fotel ministerialny jest marzeniem „umiarkowanego”, który dla tego w polityce jest zerem, bo pozostaje w niej salonowcem. Rządzące sfery republiki znają tę słabość „umiarkowanych” i przyczepiają ich do katastrof wywołanych przez siebie, tworząc „gabinety koalicyjne”, i „świętej jedności” (*union sacrée*). „Umiarkowani” są jedynymi republikanami idealistami, gdyż nie dozwolone im jest korzystanie z *régime*'u, nie mogą oni stać się *„profiteurs du régime”*; pomimo to są oni dzisiaj przywiązani do republiki, „wolą od monarchii z zasadami tę anarchię z żandarmami“ i wdzięczni są za fikcje, które umożliwiają im odgrywanie ról dekoracyjnych po wejściu na scenę służbowymi schodami. Politykowi „umiarkowanemu“ daje ustrój republikańsko-parlamentarny to zadowolenie, że może się produkować na trybunie; zdaniem Bonnard'a wszyscy destruktorzy rewolucyjni i liberalni byli politycznymi aktorami; gest i frazes miały rozstrzygające znaczenie w dziejach Francji porewolucyjnej.

Wielką zaletą i zasługą Bonnard'a jest o d w a g a a u t o r s k a, k t ó r a j e s t w y n i k i e m p o s i a d a n i a r z e c z y w i s t e j o d w a g i c y w i l n e j; dla tego znajdujemy w *„Les modérés“* głębokie refleksje sięgające do dna wydarzeń i do tajników duszy ludzkiej. Jakie proste i głębokie jednocześnie, a dotąd nie wypowiedziane ani przez Taine'a, ani nawet przez Maurras'a, jest skonstatowanie, że „bezwątpienia nigdy nie będziemy wiedzieli ile rewolucja (Wielka rewolucja — nasz przyp.) zniszczyła i czemu stanęła na przeszkodzie, i należy ją uważać za g w a ł t, d z i ę k i k t ó r e m u j e d n a m o ż l i w o ś ć z n i w e c z y ł a w i e l e i n n y c h”; jak uczciwy jest sąd o legitymistach francuskich: „ta partia legitymistyczna, która bezwątpienia była najszlachetniejszą rzeczą w życiu politycznym Francji XIX-go wieku, bo w istocie nie była to partia, lecz zespół wiernych dusz, zachowujących tęsknotę do rzeczywiście ludzkiego porządku (*un ordre plus réellement humain*)”. Choć mali duchem, choć zadowalający się paradowaniem a nie czynem, choć poświęcający porządek dla świętego spokoju, są jednak według Bonnard'a „umiarkowani“ wyższym elementem społeczeństwa, niż rządzący następcy żyrondystów i jakobinów, gdyż „za radykałami postępuje dzikość, z umiarkowanymi umiera cywilizacja”.

Pełno jest w książce Bonnad'a uwag, dla których poznania warto przeczytać to piękne i namiętne studium psychologiczno-polityczne, które jest także obrazem rzeczywistości. Czyż dzisiaj, obserwując bolszewizm w Rosji i rządy „czerwonych” w Hiszpanii, nie można dojść do przekonania, że rodzicielka tych przewrotów, Wielka rewolucja francuska „może być uważana za jedną z największych klęsk zadanych duchowi cywilizacji, a raczej pierwszą na początku epoki, w której dotykają cywilizcja ciągle nowe klęski”. Wielka wojna, wygrana przez naród francuski i zastosowanie metod sprzecznych z duchem III-ej republiki, została nie wyzyskana, bo sfery rządzące wiedziały, że nie mogą zwycięstwa zdyskontować politycznie na swoją korzyść; tem uzasadnia swój pogląd zdania Bonnard, że nie rozumie się życia politycznego Francji, gdy się nie widzi, że „prawdziwa moc wy-

nikająca z połączenia siły z sumieniem we Francji nie istnieje".

Nie można uznać Bonnard'a za pesymistę. Pisze on coprawda: „Jesteśmy w tak głębokim upadku, że wkrótce nie będzie on nawet odczuwany, stoczyliśmy się w tak powszechne chamstwo, że prawie zapominamy, że można inaczej egzystować", ale jest zdania, że można się ocalić przez, że tak powiemy, „powrót do Francji", przez wielką reakcję narodową, nie krępującą się żadnymi przesądami, żadnymi frazesami: „powinniśmy umknąć przed naszą niedawną przeszłością, aby się odświeżyć w dawniejszej... W dramacie dzisiejszym, w którym Francuz wczorajszy jest przeżytkiem, Francuz z czasów dawniejszych byłby na swoim miejscu". Po 66 latach istnienia III-ej republiki, równo w 65 lat po krwawym stłumieniu okrutnej komuny paryskiej doprowadził normalny ruch instytucyj politycznych do rządu Lejby Bluma, przewodniczącego „francuskiej sekcji internacjonału robotniczego" i ten rząd poszedł złożyć hołd rozstrzelanym w r. 1871 na cmentarzu *Père Lachaise* komunardom i w miarę możności ujawnia swoje sympatje dla bolszewików hiszpańskich; tymczasem wódz nacjonalizmu francuskiego Karol Murras skazany został na 11 miesięcy więzienia a przedstawiciele dynastii, której „aktem urodzenia jest historia Francji" znajdują się na wygnaniu. Tym większe też zainteresowanie budzić dziś mogą takie enuncjacje jak Bonnard'a i Tardieu'go.

Tardieu jeszcze się całkowicie nie wypowiedział, gdyż z obiecanych pięciu tomów wydał dotąd wstęp (*„Sur la pente"*) i pierwszy tom *(„Le souverain captif")*, ale książka Bonnard'a stanowi całość skończoną, której konkluzją, że odrodzenie i ocalenie cywilizacji francuskiej, narodu i państwa fruncuskiego może nastąpić tylko dzięki nacjonalizmowi integralnemu, tradycjonalistycznemu, zupełnie odrębnemu od fałszywego nacjonalizmu (patriotyzmu) jakobińskiego. („Trzeba mieć umysł szalenie zalękniony, by widzieć w jakobinach przedstawicieli patriotyzmu; ich pierwszym krokiem jest zerwanie ze wszystkim, czym kraj był do tego czasu; ośmiowiekowa, najszlachetniejsza i najsławniejsza w Europie historia jest dla nich niczym, ich patriotyzm zaczyna się od tego zamachu"). Nie jest Bonnard entuzjastą rewolucyj faszystowskich: Włochy, według niego, oddaliły się od cywilizacji aby zbliżyć się do potęgi, Niemcy zbyt się ujednostajniły i zespoliły upajając się kultem siły, z którą nie wiedzą co zrobić; dla Francji, kraju przebogatego zdrowymi i twórczymi tradycjami, wystarczy wrócić do tych tradycyj.

Wiele refleksyj Bonnard'a można zastosować nie tylko do Francji, lecz z większą jeszcze słusznością do państw i społeczeństw innych np. że jest ona „krajem, w którym naród ma ciągle rząd przeciwko sobie" i posiada ustrój, „który gdy okoliczności każą się wypowiadać nie mówi językiem wymaganym przez okoliczności a najważniejsze zagadnienia nie mogą być rozwiązane ani nawet przedstawione, gdyż interes rządzących utrzymuje fikcje oddzielające naród od rzeczywistości".

LESZEK GEMBARZEWSKI

SPOŁECZNO-POLITYCZNE POGLĄDY SKARGI

W CZTERECHSETNĄ rocznicę urodzin ks. Piotra Skargi warto przypomnieć w imię jakiego programu politycznego walczył znakomity kaznodzieja nadworny, jakie były jego społeczno-polityczne poglądy?

Wyczerpująca, całość działalności Skargi obejmująca odpowiedź na te pytania wymagałaby napisania obszernej rozprawy.

W niniejszym artykule dajemy jedynie wstępny, surowy szkic, oparty niemal wyłącznie na poglądach Skargi, wyrażonych w „Kazaniach Sejmowych".

Można zresztą przyjąć, bez obawy o wielką nieścisłość, że program polityczny, jaki Skarga rozwija w „Kazaniach Sejmowych", wiernie oddaje najistotniejszą treść jego poglądów społeczno-politycznych, o które Skarga całe życie z takim talentem, taką konsekwencją i iście mazurskim uporem walczył.

Dodajmy, że niektórzy badacze (m. in. prof. St. Kot) traktują „Kazania Sejmowe" nie jak kazania, ale właśnie jak traktat polityczny.

Będąc zwolennikiem hierarchicznej budowy społeczeństwa, dbał Skarga o to, aby jeden stan nie krzywdził drugiego i śmiało powstawał przeciwko uciskowi chłopów. W „Kazaniach Sejmowych" dwukrotnie bierze w obronę lud wiejski. W kazaniu ósmym piętnuje niesprawiedliwe, złe prawo o mężobójstwie: „Rozgniewany ziemianin albo starosta królewski nie tylo złupi wszytko, co ubogi ma, ale i zabije, kiedy chce i jako chce, a o to i słowa złego nie ucierpi. Tak to królestwo"—dodaje — „poddane robaczki nędzne, z których wszyscy żyjem, opatrzyło".

Najmocniej jednak uderzył Skarga w „wielkie opresje kmiotków" w kazaniu siódmym w ustępie, który wstawił dopiero w wydaniu trzecim „Kazań" z r. 1610. Żąda Skarga, aby chłopi mieli możność odwoływać się od krzywdzących wyroków sądów patrymonialnych i żeby mieli wolność osobistą. „Jeśli nie kupieni i nie pojmańcy", — pisze złotousty kaznodzieja — „jeśli Polacy tejże krwie, nie Turcy ani Tatarzy, jeśli chrześcijanie: czemuż w tej niewoli stękają? Czemu ich nie jako niewolników, ale jako najemników, używać nie mamy... Jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy Boskie ukazać?"

Prof. Ign. Chrzanowski, autor znakomitego studium o „Kazaniach Sejmowych", nazywa ten ustęp „jednym z najpiękniejszych słów, jakie w dawnej Polsce wypowiedziano w obronie ludu".

Odważne powstawanie Skargi i innych kaznodziejów na ucisk chłopów nie oznacza wcale jakoby już w XVI wieku występowano z planem reformy ustroju agrarnego. Szło wtedy nie o reformę społeczno-gospodarczą, ale o ludzkie obchodzenie się z poddanymi, o to, aby „panowie kmiotka za psa nie mieli i jako bestią, kiedy chcą, nie zabijali".

Konkretne plany zmian struktury społeczno-

gospodarczej wsi polskiej ukażą się dopiero w wieku XVIII. Nie mniej Skarga z dużą odwagą cywilną gromił „prawa niesprawiedliwe” i domagał się — możnaby na upartego tak tłumaczyć jeden ustęp z „Kazań Sejmowych” — zniesienia poddaństwa, czyli swobody poruszania się po Polsce.

Nie dosyć na tym.

Skarga brał zdecydowanie w obronę nietylko kmieci ale i mieszczan. „Długoż takie łupiestwa”— wołał jeszcze przed „Kazaniami Sejmowymi“ — „poddanych i miast... Długoż”—pytał—„żydy i niewierne nad chrześcijany przekładać, z nimi chrześcijany na lichwach i zyskach łupić, na urzędy je sadzać ci łakomcy i łupieżcy będą?”

Jak widzimy, Skarga był zdecydowanym przeciwnikiem obdarzania przywilejami żydów i nie chciał ich „na urzędy sadzać”.

Sprawie ustroju politycznego państwa poświęcił Skarga całe kazanie szóste sejmowe.

Wyraził w niem pogląd, że w „Rzeczypospolitej przyrodzona i nalepsza i nawłaśniejsza rozumowi ludzkiemu jest monarchia abo jedynowładztwo i rząd jednego. Który gdy się mieni a na wiele się głów dzieli, ciężka jest i śmiertelna Rzeczypospolitej choroba”. Zwolennik silnej władzy wykonawczej, złożonej w ręce króla i senatu, przeciwnik zdecydowany demokracji szlacheckiej, anarchii i źle pojętej wolności, którą nazywa „diabelską”, występuje Skarga przeciw tyranii. „Nie taką monarchią chwalimy, jaka jest u Turków, Tatar i Moskwy, która ma bezprawne panowanie: ale taką, która prawy sprawiedliwemi i radą mądrą podparta jest”.

„Zapamiętały rojalista”, jak go nazywa we wnikliwej i niesłusznie przemilczanej rozprawie p. t. „Piotr Skarga” (Kraków, 1925) prof. St. Windakiewicz, nie był Skarga zwolennikiem niczym nie ograniczonych rządów absolutnych.

Uważał, że muszą być hamulce, które nie pozwolą królom błądzić i tyranami się stawać. Takimi hamulcami miały być: prawa sprawiedliwe i rada czyli senat. Prawda, że nie obwarował prawnie instytucyj, które miały regulować swawolę królewską, ale szło mu przecież wtedy o podniesienie zdeptanej przez szlacheckie gminowładztwo powagi władzy wykonawczej, o ograniczenie, a nawet zniesienie wielogłowych rządów sejmikowych, o naprawę sejmów, które się na niczym rozchodziły. „Czemuż je tak targać”—pytał autor „Kazań”—„i na zgubę je swoją i pośmiech a sromotę u ludzi obcych obracać je dopuścicie”.

Chciał zatym Skarga silnej władzy, ale prawem określonej, nie dla „pojedynkowych pożytków” sprawowanej, ale dla dobra Ojczyzny całej. A że „wielkie to rzemiosło ludzie rządzić”, przeto stawiał wielkie wymagania rządzącym, nietylko rządzonym, najmędrszym, najdoświadczeńszym, najbardziej miłującym Ojczyznę ster rządów oddając.

Był wreszcie Skarga szermierzem dyscypliny i karności oraz jedności religijnej i politycznej. Zwalczał namiętnie herezje i rozbicie polityczne.

Nawołując do zgody i jedności, nie każdej zgody pragnął, nie za każdą cenę chciał jedności. Zgody ze złem nie uznawał nigdy. Jednoczyć chciał dokoła wyraźnych zasad moralno-politycznych. Rozróżnia w sposób nie ulegający wątpliwości, różne postaci zgody: „I dla tego na dobre się zgodzić nie możecie, którzy się na złe i na zelżywość Pana Boga i krzywdę bliźnich swoich zgadzacie. Gdy dziesięcin nie dać, a nic kościołom Bożym nie wrócić, a poddane i ubogie ciskać: to tam zgoda”.

Byle jakiej zatym zgody Skarga nie uznawał, odszczepieńców gromił, był człowiekiem walki, a nie kompromisu.

Jak z powyższego, ponad miarę pobieżnego zarysu widać, poglądy społeczno-polityczne Skargi nie są i dziś jeszcze głosem przebrzmiałym.

Kto czytać umie, odnajdzie pod słowami Skargi niejednokrotnie nie historię tylko, ale i dzisiejszą rzeczywistość polityczną, bo dzisiejsze nasze trudności. Ten mazur sprzed trzech wieków potrafi się z dzisiejszym Polakiem porozumieć.

TADEUSZ BIELECKI

SKARGA I MATEJKO

Panu Kazimierzowi Żółtowskiemu

II

PIERWSZY monografista Matejki i jego przyjaciel, St. Tarnowski, nieśmiało stwierdza, że „Skarga nie posiada jeszcze późniejszych wad obrazów matejkowskich, nie ma nic z „filozofii“.

Istotnie artysta powinien malować nie to, co wie—lecz to co widzi. Należy jednak pamiętać, że artysta plastyk poruszony tem, co widzi, powinien wiedzieć co widzi i dla czego tak widzi. Czyli że widzenie i wiedza zespalają się z sobą i całkowicie rozdzielić się nie dadzą.

Niewątpliwie dzieła Matejki mają swoje wady („wady” są nawet cechą geniuszów stałą), lecz tendencyjności t. j. sztucznego naciągania, myślowego, literackiego wykładu przy pomocy nieodpowiedniej formy — nie ma. Matejko jest potężnym plastykiem.

Główne „wady“ Matejki płyną z nadmiaru siły twórczej, która się wprost rozpętała pod wpływem Skargi i po „Kazaniu Skargi“. „Wada“ to wysokiej ceny, bo dzieli ją z największymi, od Michała Anioła poczynając.

Matejko dużo wie, dużo przeczuł i przemyślał, Matejko dużo widzi, a te uczucia, myśli i wizje nawałnicą swoją przelewają się poza brzegi jego wielkiej duszy. My widzimy grzbiety tych spienionych fal i przeczuwamy tę głębinę pod nimi skrytą.

Pierwsza fala, która w majestatycznym swym wzniesieniu nadbiegła na ląd polskiego nadbrzeża, była „Kazaniem Skargi“.

Podobno Jerzy Lubomirski ujrzawszy obraz powiedział: „W całym obrazie tylko ci dwaj (Skarga i Zamoyski) rozumieją się zupełnie“, a po tym „sam główny prąd tragicznej siły przepływa między nimi“.

Stwierdzone tu zostały dwa fakty plastyczno-psychiczne tego obrazu. Po pierwsze, w obrazie nie jeden, lecz dwa są punkty koncentrujące napięcie duchowe: Skarga i Zamoyski, na dwu końcach dzieła. Po wtóre pomiędzy tymi dwiema postaciami, dwoma duchami istnieje kontakt psychiczny.

Istotnie, Matejko posiadał ten rzadki dar w plastyce nawiązywania kontaktów psychicznych pomiędzy poszczególnymi postaciami swych dzieł i wzmagania tą drogą ekspresji utworu do najdalszych krańców napięcia. Działał tą nadchnioną umiejętnością przez wszystkie niemal dzieła, od „Skargi" do „Racławic". Poruszające, suggestywne kontakty psychiczne w życiu są właściwością wielkich mówców. Musimy sobie wyobrazić, że tak właśnie działał ks. Piotr Skarga. Zresztą wyobrażać sobie tego nie potrzebujemy, bo przy samym czytaniu jego „kazań", odczuwamy moc tego działania, poprzez wieki.

Z nie wielu kontaktów psychicznych w plastyce należy wspomnieć, bo to się samo nasuwa naszej uwadze, wspaniałe *Creatione dell'uumo*, Buonorottiego na sklepieniu Sysktyny. Bóg Ojciec stwarzający Adama. Czy nie Savonarola wzbudził ten przedziwny kontakt w wizji twórcy kopuły św. Piotra?

Matejko mówcą nie był, ale za mistrza miał jednego z największych kaznodziejów świata.

Skarga nie patrzy na Zamoyskiego, bo nie patrzy wogóle na kogokolwiek ze słuchaczy, patrzy w przestrzeń daleką, w głąb wieków, ale słowy swymi, które wyrywają się z pół otwartych ust, swą orlą twarzą promieniującą nawałą trosk, uczuć, myśli, przyciąga ku sobie wzrok hetmana i kanclerza.

Strwożone oczy Skargi, proroczo widzą dal czasów, karanie narodu, które zapowiadają usta. W oczach tych jest strach, ale nie ma obłąkańczej rozpaczy, jak później w oczach Rejtana.

Twarz Zamoyskiego równie, choć w innym rodzaju, piękna, oczy równie, choć inaczej otworzone. To polityk, który nie patrzy tak głęboko i proroczo, ale ujrzawszy niebezpieczeństwo, zrozumiawszy istotę jego, w trwodze wielkiej szuka jednak natychmiast ratunku. Sięga na bliższą metę.

Tę głęboką i subtelną różnicę psychiczną w dwu troskach i trwogach, Matejko, artysta plastyk, technicznie osiągnął przez to, że oczy Skargi, jego rozszerzone źrenice nie mają ogniska widzenia, punktu zbieżnego, koncentracyjnego, patrzą niemal równolegle, a więc w „nieskończoność"; oczy Zamoyskiego, mniej rozszerzone, za ognisko swoje, punkt koncentracyjny mają twarz Skargi, a więc rzecz blizką.

Mówię tylko o stronie psychiczno-technicznej i malarsko — technicznej, ale poza tem istnieje tajemnica wielka geniuszu, która dokładnie odcyfrować się, ani określić nie da, której oddziaływanie tylko odczuwamy i którą porwani jesteśmy.

W Skargę wpatrzona jest jeszcze nie jedna twarz, ale wśród nich najbardziej ujmującą jest twarzyczka królewicza Władysława. Oczy dziecka żywe, inteligentne, powiedzmy nawet na swój chłopięcy sposób mądre, nieco zaciekawione i nieco strwożone, coś zaczynają głębszego snuć i wyrażać.

A wszystkie te postaci, twarze i grupy ich, znajdujące się w promieniach zasięgu postaci naczelnej, postaci, wyrazu twarzy, oczu i gestu rąk, mają przedziwną jasność układu i powiązań wzajemnych. Pod tym względem przypominją one jasność układu wielu kazań Skargowskich, a może przedewszystkiem kazań o Sakramentach.

Gest rąk skargowskich, o których się tyle pisało, jest istotnie wspaniały w swej wyrazistości. A należy podkreślić, że jak u mówcy, u kaznodziei, gest bywa potężnym uzupełnieniem, podkreśleniem i uwypukleniem siły myśli, mocy słowa — tak u plastyka twórcy, malarza wyrazistość gestu jest jedną z najdobitniejszych cech potęgi twórczej.

Słowo i gest tak dalece się wiążą z sobą u Skargi, że ten gest dawno miniony, dziś po wiekach, czytając kazania, widzimy, czujemy niemal namacalnie. Gdy czytamy ten potężny, wstrząsający swym uczuciem, swymi obrazami i myślami ustęp: „Bych był Izajaszem....." gest skargowski występuje przed oczyma wyobraźni naszej, jak żywy ruch potężny. Możemy go tak lub inaczej wyobrazić, ale wyobrazić musimy, bo go widzimy i czujemy.

Matejko, jako wielki talent malarski, zapowiadał już w najwcześniejszych swoich pracach, choć nie we wszystkich, wyrazistość gestu, ale do gestu potężnego doszedł dopiero pod wpływem Skargi. Kiedy chłonął jego kazania i nosił już w duszy jego wizję, zdobył się na gest tak wyrazisty jak w „Stańczyku", — ale dopiero z samym „Skargą" stał się potężnym, plastycznym twórcą gestu. Odtąd siła gestu wyrazistego, o ogromnej skali odcieni nie opuszcza jego dzieł, aż do końca twórczości, aż do wspaniałej postaci Czarnieckiego w niedokończonych „Ślubach Jana Kazimierza".

Matejko we wszystkich swoich obrazach jest mówcą — mówcą płomiennym i gestykulującym wyraziście.

I oto mamy jeszcze jeden wspaniały dar Skargowski.

Z gestem poniekąd łączy się wyrazistość dłoni. To jednak u Matejki, raczej jest darem Wita Stwosza, tego niezrównanego mistrza wyrazistych dłoni. I tu jednak Matejko, mimo całego swego mistrzostwa nie doścignął swego gienialnego poprzednika sprzed czterystu lat. W każdym razie dłonie matejkowskich postaci, mistrzosko rysowane i malowane, miewają swój wyraz godny uwagi.

Największą potęgą Matejki — potęgą jego własną, samorodną — potęgą stanowiącą rdzeń jego geniuszu, pozostają twarze, oczy, ich przechodzący granice plastyki swoim napięciem, wyraz. Tu tylko można mówić o uczuciowym wpływie Skargi.

Skarga w swym obrazowaniu, w swoich kazaniach i pismach był realistą, umiejącym w krótkich, nieraz drobnych rysach skreślić, malować rzeczy nie tylko oczywiście, ale w sposób niemal dotykalny, zarazem prosty i jędrny. Do tego się zresztą przyczynia moc i jędrność języka staropolskiego, tego którego już dziś niestety nie posiadamy.

Matejko swój realizm pod wpływem Skargi zaostrzył (czyniono mu z tego zarzuty) nadał mu moc charakterystyczną, przemawiającą wyraziście nawet w drobnych szczegółach akcesoriów.

Ale Skarga był też wizjonerem, który wywoływał paru zdaniami swej mocarnej, obrazowej wymowy, prawdziwe zjawy, o skoncentrowanych, dobitnych zarysach, przesyconych bólem lub zgrozą, potęgą, a czasem triumfem lub niezmożoną siłą wiary. Matejko od „Kazania Skargi" staje się wizjonerem, czasem dającym wizje tak wstrząsające jak „Rejtan", lub wir „Bitwy Grunwaldzkiej".

„Kazanie Skargi" w swej osnowie postaci i grup posiada przedziwny układ linij i mas. Jeżeli bliżej się przyjrzymy kompozycji, odrazu musi uderzyć nasze oko i uwagę falowanie tych głów postaci klęczących, siedzących i stojących, które się zbiegają w węzły, to znów wznoszą się i opa-

dają. — To jakby rytm mowy, falowanie głosu kaznodziei, z jednoczesnym falowaniem uczuć, wyrazów twarzy, poruszeń. Od Jana Zamoyskiego w dół do przepięknej postaci Hipacego Pocieja, przez Mikołaja Wolskiego, spadek do Zygmunta trzeciego. Piękne głowy niewieście, matrony Anny Jagiellonki i ślicznej w młodości, wyrazie i ruchu Katarzyny Ostrogskiej, znowu do węzła trzech rokoszan i tak dalej, aż do Karnkowskiego i kardynała Gaetano, wszystko obiegające wirem około strzelającej ku górze postaci świętego kaznodziei.

Dużo rozważano i pisano o układzie kompozycyj Rafaela i innych mistrzów Zachodu, szkoda, że nikt dotąd nie przeprowadził systematycznych rozważań na temat kompozycyj Matejowskich, tak swoistych, tak oryginalnych.

Podobnież rozkład światłocienia i tonacja barwna, dziś niestety zniszczona, zamierzchła, w przedziwny sposób potęguje ekspresję całości obrazu, poszczególnych części, a nadewszystko naczelnej postaci ks. Piotra Skargi.

Czym dla poety, pisarza, mówcy jest słowo i zdanie, tem dla malarza jest jego faktura, pociągnięcie pendzla. Na „Skardze“ Matejki nie znać jeszcze w fakturze wpływu Skargi kaznodziei, a przynajmniej znać mało. Choć pociągnięcie pendzla jest tu mocniejsze i wyrazistsze niż u Delaroch'a nie mówiąc już o współczesnych Matejce malarzach polskich, ale jest jeszcze dość gładkie ażeby nie razić krakowskich wielbicieli Rafaela. Dopiero po tym nabrał tej śmiałej, jędrnej, aż szorstkiej faktury, podobnej do Caravaggia, Rubensa, miejscami do Velasqueza i wtedy zbliżył się do mocy słów staropolskiej mowy Skargowskiej. Czasem może to uderzenie pendzla stawało się jeszcze bardziej szorstkie i zbliżało go raczej do następcy Skargi, do ks. Fabiana Birkowskiego. Na ogół jednak faktura Matejki najbliżej wiąże się z mocą słowa i zdania Skargi w jego przedziwnym, męskim umiarze. Już w „Kazaniu Skargi“ można się rozkoszować soczystością zdecydowanych rzutów pendzla.

Przedziwne i potężne jest oddziaływanie duchów wielkich, choćby wiekami rozdzielonych, ale blizkich sobie całą głębią swej istoty, tem dziwniejsze i bardziej zdumiewające i zachwycające, że sięgają one w dziedziny tak odmienne, jak plastyka słowa i plastyka malarska. Wiele rzeczy można wyczuć, odcyfrować, ale są też rzeczy nie do odczytania, bo one są tajemnicą geniuszu, tajemnicą łaski Bożej.

„Bóg, mówi pismo, większy jest niżeli serce nasze. Spraw Jego rozum nasz nie ogarnie. Łyżką, którą w usta kładziesz, morza nie wybierzesz, ani zbrodzisz: otchłań jest i bezdnie moc Boża i sprawy Jego“. (Ks. P. Skarga: Kazania o Sakramentach).

Z morza tej tajemnicy spraw bożych wystrzela „Kazanie Skargi“, jak zjawisko potężne i wstrząsające duszą polską do głębi.

Oto Polska XVI wieku, Polska złotego okresu — potężna i bogata — mocarstwo na miarę wszechświatową. A jednak ukazują się rysy zatrważające, mroczne, rysy które już tyle umysłów napełniły niepokojem, tyle słów ostrzegawczych wyrwały z ust i serc ojczyznę miłujących statystów mądrych. Słów, wezwań, które teraz zestrzeliły się w ognisko potężne, kaznodziei przełomu (A. Mickiewicz), tego serca serc, miłującego za miliony, na przeciąg stuleci, na wieczność całą, tego sługi bożego, aż do śmierci i poza śmierć oddanego ojczyźnie. Woła, błaga, zaklina, grozi tym, którzy są na szczycie chwały i potęgi, tym możnym i niezwyciężonym, którzy mają za króla pana dwóch koron, a który ma rychło sięgnąć i po koronę trzecią: czapkę Monomacha. Bo on widzi to czego oni nie słyszą, choć słuchają, i usłuchać nie mają.

Błyska chwała oręża polskiego i zabłyśnie jeszcze potężniej, od Bałtyku dotrze do Dunaju, do Wołgi, echem się odbije od Bałkanów, murów i wierzyc Kremla. Polska się stanie obszerniejszą i potężniejszą niż kiedykolwiek — a On, ten jeden upomina i grozi — choć sam potęgę czuje, choć chwałę jej głosić będzie w kazaniach triumfalnych na zwycięstwo Multańskie i na zwycięstwo Inflanckie.

Widzi, że mrok się nasuwa, z tego rozdarcia w prywacie, w korzyściach „pojedynkowych“ w nieżyczliwościach ku Ojczyźnie, w uciskach, prawach niesprawiedliwych, w niekaralności grzechów jawnych. Mrok się nasuwa, zasuł już całą Świątynię Pańską, katedrę Wawelską, królewską. Gdzieś tylko z góry przedziera się smuga światła. Już i dłonie jego wzniesione, bijące w ten mrok, nie rozproszą go.

„Orzeł biały na tle mroków nocy“, nadciągających nieszczęść.

Tak Skarga ze swą orlą głową, z rękami, jak ze skrzydłami, wysuwa się z mroków tła. I wyrwie się — mroki przebije, rozpędzi uderzeniem swych skrzydeł.

Jak w każdym dziele wielkiej sztuki, jak w dramacie, tak i w obrazie największa siła wydobywa się z kontrastów. Matejko największy nasz dramaturg w plastyce posiada ogromną moc kontrastów: kompozycyjnych, barwnych, ruchu i wyrazu, rysunku i światłocienia.

Postać ks. Piotra Skargi posiada na tle dziejów naszych potęgę kontrastu — Matejko potęgę tę ujrzał w pierwszej swej wizji malarskiej.

I oto profetyzm płomienny i mądry Skargi znajduje odgłos w podobnym profetyźmie nauczycielskim Matejki. Matejko jednak przeszedłszy okres wstrząsów i bólu, graniczących prawie z rozpaczą, chwycił się wiary swej religijnej i stąd płynącej wiary w przyszłość narodu, chwycił się triumfalnych kazań Skargi, chwycił się jego zapowiedzi „dnia trzeciego“, i tej wierze poświęcił rezultaty swej twórczości, która od „Unii Lubelskiej, po przez „Batorego“ — „Grunwald“, Hołd Pruski“, „Sobieskiego” do „Joanny d'Arc” szła niezmiennie do wydobycia triumfalnej mocy narodu — i cudu zmartwychwstania.

Skarga i Matejko — działający, tworzący w tak odmiennych warunkach i tak odmiennemi środkami, są tak blizcy sobie, jako wyraz wiary i mocy narodu. Skarga był realistą i zarazem wizjonerem. Matejko był realistą i w wyższy jeszcze stopniu wizjonerem. Skarga dając nadzwyczaj żywe, plastyczne, obrazy z usposobienia psychicznego jest pokrewny Matejce. Choć Skarga więcej jest moralistą, a Matejko więcej historiozofem, jednak i u Matejki moralizm odgrywa pierwszorzędną rolę.

Obaj głęboko, przedziwnie religijni, wierzą niezachwianie w kierownictwo Opatrzności Bożej, w celowość rozwoju dziejów, w odpowiedzialność przed Bogiem nie tylko indywidualną, ale i zbiorową, w ogromną wagę przed prawami wiecznymi, przed Bogiem, indywidualności wyższego rzędu, jaką jest naród, a stąd wierzą w nieśmiertelność narodu i jego powołanie wieczne.

Miączyn. LUDOMIŁ SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

NA WIDOWNI

Wspomnienie o Zygmuncie Balickim. — Myśliciel i organizator, instruktor i wychowawca.— Balicki o sprawie żydowskiej. — Jan Popławski i historja Bojki. — Bojko w r. 1901 i dziś.—Bankructwo polityki klasowej.

DWADZIEŚCIA lat temu, d. 12 września 1916 r. zmarł w Petersburgu, nie doczekawszy końca wojny, Zygmunt Balicki, jeden z tych, którzy najwięcej mieli praw do hołdu ze strony narodu za jego odrodzenie. Całe życie jego było nakierowane na tę wielką w dziejach chwilę.

Był naczelnym tego odrodzenia ideologiem. Podczas gdy Dmowski, ująwszy sprawę w swoje ręce, kierował nią na drogach dyplomatycznych państw zachodnich, Balicki pozostał w Petersburgu, aby tam Komitetowi Narodowemu służyć za busolę ideową. Potrzebny był tam autorytet jego myśli. On bodaj jeden w tym zespole był politykiem fachowym, należycie do rozumienia sprawy polskiej przygotowanym w trudzie całego życia. Nie wysuwał się nazewnątrz, jako reprezentant sprawy, ale w tych trudnych warunkach politycznych jego inspiracja była decydującym czynnikiem kroków i postawy Komitetu.

W ruchu narodowym odradzającej się Polski Balicki odegrał poważną rolę jako doskonały organizator i instruktor naukowy. Organizował jako badacz socjologii myśl swego pokolenia, dając jego ideom naukowe uzasadnienie, organizował też ludzi tego pokolenia, mających ideje wcielać w życie. W tym znaczeniu nazwałem go ideologiem, teoretykiem i doradcą w sprawach idej.

Jego wiedza i talent oddawały ruchowi narodowemu nieocenione usługi. Publicystą był i działaczem, popularyzatorem wiedzy o prawach, rządzących życiem społeczeństwa, i oddanym całą duszą temu społeczeństwu budowniczym. To go robiło wychowawcą młodzieży.

Jego dziełem w największej mierze była Liga Narodowa, której tajność w swoim czasie (od r. 1887 do wojny) była jedynym sposobem przezwyciężenia kordonów i zorganizowania ruchu wszechpolskiego, jego też dziełem był jednoczesny Związek Młodzieży Polskiej (Zet), do tej działalności przygotowujący młodzież.

Balicki był żywym łącznikiem między Polską popowstaniową a tradycjami sprawy polskiej, przechowywanymi przez naród z pietyzmem na emigracji, ostatnio upostaciowanymi w Jeżu (Miłkowskim). On z rąk Jeża przejął tę, jak mówił Mickiewicz, *lampadam vitae* i wrócił ogień krajowi.

Studia swoje za granicą, gdzie zbliżył się z Jeżem (w Genewie) pokierował w dziedzinę prawa i socjologii z tą myślą, że odbudowa Polski nie może być dyletancka, ale że jak każda twórczość, musi być oparta na umiejętnej wiedzy. Był wychowańcem pozytywizmu, a ten w tym względzie miał słuszność.

Trudno bez wzruszenia pomyśleć, że w pracach naukowych Balickiego, tak przecież chłodnych, motorem był współczynnik uczuciowo-moralny, mianowicie idea Polski. W tym świetle trzeba widzieć pierwszą jego pracę, która mu utorowała drogę do Instytutu Socjologicznego w Paryżu: *„L'état comme organisation coërcitive de la société politique"*. Cóż innego, jak nie ta idea, zniewoliła go do wielkiego studium w dziele „Psychologia społeczna"? Chciał zbadać naukowo tajemnicę duchowego życia narodu, nie poddającego się śmierci, czekającego na swój czas wyjawienia w postaci państwa. Pisał to dzieło w więzieniu rosyjskim po powrocie do kraju.

Miał czym wylegitymować się ze swego prawa do zajmowania się w sposób autorytatywny sprawą publiczną. Miał też wielki autorytet jako uczony, jako świetny mówca, jako człowiek pełen uroku suggestywnego.

— — — — — — — — — — — —

Nie piszę życiorysu, tylko wspominam, zawsze pełen żalu, że pisma Balickiego, rozproszone po czasopismach, nie są dotąd zebrane w całość. Iluż pisarzy i nie pisarzy zastawały jeszcze przy życiu wielotomowe pomniki ich przygód myślowych!

Dla okazania jak ścisły związek zachodzi między naszą dobą obecną a pracą myśli Balickiego, wysunąłem na czoło zeszytu niniejszego artykuł jego, ogłoszony w „Przeglądzie Narodowym" z r. 1913. Już wtedy byliśmy sanatorami, jak świadczy sam tytuł: „Akcja uzdrowienia..." Dzisiejsza „sanacja" to tylko *antidotum* na nasze środki sanacyjne.

Istnieje więc życie głębokie myśli narodowej, skoro, przerwana wypadkami wojny, wróciła w swoje łożysko. Balicki nie umarł, idzie krok w krok za pokoleniem nowem, które go już nie widziało, i poucza, jak dawniej i zawsze myśl organizuje, aby gotowa była do działania.

— — — — — — — — — — — —

Oprócz ujemnej—żydowskiej istnieje sprawa dodatnia ludowa. Obie przed wojną dobrze już przygotowane, a dziś do rozwiązania nam dane.

Tak się złożyło, że po Balickim wspomnę też o Popławskim, genialnym entuzjaście. Czyż to jego wina, że się na kimś zawiódł?

Dzienniki powtarzają urywki wywiadu współpracownika „Czasu" u b. senatora Jakóba Bojki z Grębloszowa. Bardzo wymowna i nie bez znaczenia historycznego jest ta pełna melancholii spowiedź starego chłopa galicyjskiego.

Zapytano go o stosunek do Witosa. Bojko odpowiada:

„Witos jest tak samo chłopem, jak ja i tak samo chłopa kocha. Różnica między nami jest ta, że ja zawsze chciałem ulżyć doli chłopskiej, ochraniać go i bronić jego interesów, a Witos uważał, że trzeba chłopa prowadzić, kierować nim, jak to się teraz mówi — wychowywać go. Przez długi czas mogliśmy iść ręka w rękę, bo gdyśmy mieli władzę w rękach, to obaj dążyliśmy do ulżenia doli chłopskiej. Witos urządzał wprawdzie wiece i starał się być jakbardziej popularny, a ja o to nie dbałem, lecz nie różniło to nas.

Ale nadszedł maj 1926 r. i rządy się zmieniły. Witos przyjechał do mnie i powiada, że z tym rządem nie będzie współpracował i przechodzi do opozycji. Nie mogłem się z tym zgodzić, bo uważałem, że trzeba z rządem współpracować i oddziaływać nań w kierunku ulżenia chłopu. Wtedy rozstaliśmy się raz na zawsze, bo przecie inaczej być nie mogło.

Chciałam dla chłopa jaknajlepiej. Nie usłuchano moich ostrzeżeń.

Po 1930 r. Witos urósł do miana męczennika sprawy chłopskiej, a ja straciłem wpływy. Mnóstwo agitatorów okrzyknęło mnie zdrajcą idei chłopskiej. Potem powstała Bereza i nowa ordynacja wyborcza, której uczyniono mnie kłamliwie współtwórcą".

Bardzo charakterystyczny jest ten refren: „chciałem dla chłopa jaknajlepiej..." Tkwiło to w mózgu od początku szkoły politycznej, jaką Bojko przebył w Galicji, że „chcieć d l a c h ł o p a", że robota klasowa jest szczytem powołania politycznego, jakiego dostąpić może demokrata.

Ta krótka relacja historyczna Bojki odsłania obraz chaosu pojęć, jaki wytworzyły hasła nowego reżimu po r. 1926. Hasła te głosiły: precz z partyjnictwem, wszystko dla państwa! Ale jednocześnie wciągano do kliki Bojkę, podtrzymując w nim wiarę, że wszystko „dla chłopa".

Życie zakpiło i z Bojki i z kombinatorów, spotkało ich bankructwo. Bo i on i oni w gruncie rzeczy chcieli jak najlepiej dla siebie i swoich. Życie wyjawiło swoją wolę państwowo-twórczą przez tego właśnie „chłopa", który się odsunął od Bojki i od „sanacji".

Stary Bojko legł pod gruzami tandetnie przez masonerię wznoszonej konstrukcji. Smutny widok ruiny człowieka, któremu zabrakło charakteru na porządne dopełnienie żywota. Słowa jego jęczą:

„Kiedy przed 6 miesiącami wojewoda Świtalski przyjechał wręczyć mi order Polonia Restituta, nie przybył nikt z okolicznych chłopów, tylko wezwani przez starostę sołtysi. Odznaczenia nie powinszował mi nikt z chłopów, tylko baron Feliks Konopka, syn tego, który ongiś nazwał mnie nowym Szelą...

Dzisiaj przestałem być senatorem, zrzekłem się wójtostwa w Gręboszowie, wycofałem się z redakcji „Gospodarza" i już tylko wspomnienia z mego za długiego życia piszę, by coś po mnie zostało".

— — — — — — — — — — — —

Widok leżącego Bojki obudził we mnie wspomnienia sprzed lat 35, kiedy to świeży prąd narodowy brał go na swą falę, aby mu ułatwić drogę do zasługi i chwały. Przechowałem kopertę, zawierającą garść rachunków i kwitów Komitetu Obywatelskiego we Lwowie, który w r. 1901 wysunął kandydaturę Bojki na posła do Sejmu Krajowego. Komitetem tym był właściwie jeden tylko człowiek, Jan L. Popławski, ówczesny redaktor dziennika „Wiek XX". Dla tego przechowałem tę paczkę, że wszystkie tam rachunki i notaty pisane są jego ręką.

Pomysł Popławskiego wywołał sensację i żywe zainteresowanie. Zapowiedział tę kandydaturę w nr. 480 „Wieku XX" z d. 8 września 1901 r.

„Zjawiła się ta myśl"—pisał Popławski—„jako poczucie o b o w i ą z k u n a r o d o w e g o, naprawienia złego czynu, wynagrodzenia krzywdy wyrządzonej całemu ludowi polskiemu w osobie Bojki".

Cóż to była za krzywda? Oto na wyborach z kurii wiejskiej w Dąbrowie Bojko przepadł kilku głosami, co przypisano nadużyciu popełnionemu pod naciskiem Stańczyków. Sensacją zaś było to, że Popławski stawiał tę kandydaturę w kurii miejskiej i to w oddalonym Lwowie, gdzie Bojki nie znano. Sarkano, choć nie bardzo wierzono w sukces Bojki, przy tym Popławski zręcznie zażył mieszczuchów hasłem demokratyzmu. Bojko — pisał Popławski,—zapewne wolałby dziedzictwo w Gręboszowie, ale

„ten poeta i myśliciel chłopski raczej, niż polityk zawodowy, stał się widomym uosobieniem, jeżeli nie całego ludu, to tej co raz liczniejszej jego części, która swej polskości świadoma garnie się do życia publicznego... Jakób Bojko stał się widomym uosobieniem tej myśli narodowej, która się wśród ludu obudziła..."

Poznajemy z tych słów twórcę programu stronnictwa dem.-narodowego z r. 1897, programu, biorącego za punkt wyjścia lud utożsamiony z narodem, poznajemy redaktora „Głosu" z r. 1887-1894. Galicja teraz stała się dla niego polem doświadczalnym. Postanowił przełamać galicyjski schematyzm klasowy w polityce na rzecz narodowej wszechstanowości: Na przykładzie Bojki pokażę, że chłop może doskonale reprezentować stolicę kraju, skoro w sercu ma troskę o dobro narodu.

W nr. 482 Popławski w odezwie wykładał Lwowianom:

„Wszyscy wielcy mężowie nasi, wodzowie, politycy, znakomici pisarze i poeci rozumieli i głosili, że tylko przez w o l n y, o ś w i e c o n y i d u c h e m o b y w a t e l s k i m o ż y w i o n y l u d dojść możemy do w o l n e j i n i e p o d l e g ł e j O j c z y z n y...

Nie oddawajcie w poniewierkę najszlachetniejszych usiłowań wielkich mężów naszego narodu, nie pozwalajcie marnować owoców stuletniej pracy dla ludu a przez lud dla Ojczyzny..."

Demokraci lwowscy byli w trudnym położeniu. Z jednej strony nęciła ich myśl zrobienia na złość Stańczykom, ale z drugiej strony ktoś z nich mógł stracić mandat. A przecież kandydowali we Lwowie ludzie tak możni i ważni, jak Romanowicz, burmistrze Małachowski, Michalski, Rutowski, minister Piętak, żydzi Byk i Lilien i szereg innych; na ich zwycięstwo pracował oddawna aparat władz miejskich, prasy, organizacyj mieszczan, podczas gdy kandydatura Bojki zjawiła się na trzy dni przed wyborami.

„Słowo Polskie" było wtedy jeszcze w ręku Romanowicza i Rutowskiego. Operowano tam radykalnym liberalizmem. Cwane ćwiki polityczne szydziły w „Słowie" z kandydatury Bojki, nazywając ją „kandydaturą entuzjazmu".

Aliści Bojko wyszedł z urny! Było to właśnie zwycięstwo entuzjazmu. Na wieść o wyborze Bojki tłumy na rynku lwowskim zaintonowały pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła". Wieczorem w teatrze na przedstawieniu „Rozbitków" (z Żelazowskim), gdy ogłoszono z galerii o wyborze Bojki, sala z entuzjazmem wieść tę oklaskiwała.

Ulicy lwowskiej dawała ton patriotyczny młodzież akademicka, która wyczuła świeży powiew, idący z haseł „Wieku XX". Z miast i wiosek nadchodziły telegramy gratulacyjne. Stary pułkownik Miłkowski nadesłał ze Szwajcarii telegram: „Za wybór Bojki cześć miastu, Bojce pozdrowienia".

Jednym słowem imię tego chłopa jaśniało w transparencie wielkiej manifestacji narodowej.

— — — — — — — — — — — —

Coś drgnęło w sztywnym mechaniźmie życia politycznego Galicji. Przy sposobności Bojki proklamowano we Lwowie narodziny polityki narodowej.

Wybór Bojki był początkiem przewrotu, którego dokonało niebawem Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe przy pomocy „Słowa Polskiego". Wtedy właśnie powstała decyzja oddania tego dziennika w ręce warszawiaków, decyzja, która mnie na początku r. 1902 ściągnęła z Warszawy do Lwowa na lat kilkanaście.

Popławski zrobił z Bojki maksymalny użytek dla swego programu, zrobił z niego symbol chłopa-obywatela. Wierzył przytem Bojce, że w tej roli Piasta się utrzyma. Zawiódł się.

Prawdę mówiąc, teraz gdy czytam kronikę „Wieku XX", Bojko nie robi na mnie dobrego wrażenia. W liście dziękczynnym, nadesłanym w kilka dni po wyborze (nr. 487), pisze:

„Dziękując Sz. Redakcji, jako też całemu miastu za nadzwyczajną miłość dla ludu, a i dla mnie ubogiego chłopa, proszę Boga, aby ten wybór przyniósł choć odrobinę chwilek weselszych naszemu biednemu krajowi".

Jakoś nie wiele miał do powiedzenia! Nie umiał odnaleźć się w symbolu. Całe życie—„aby chłopu było lepiej..."

Stronnictwa wszechpolskiego jeszcze legalnie nie było. W kadrach stronnictwa ludowego poszedł utartą drogą wyłączności klasowej, ile że czynniki walczące z ideą narodową nie omieszkały dobrze się zaopiekować ruchem ludowym.

Dzisiaj znalazł się w kolizji z Witosem, nie rozumiejąc nawet, że Witos przerósł go, pomimo swej chłopskości—o cały wzrost męża stanu.

I oto jaki smutny koniec. Spowiada się płaczliwie w tym samym „Czasie", w którym stańczyk stary Hupka nazwał go potomkiem Szeli, spowiada się przed „sanacją" która jego godność stytłała (jak mówi Żeromski). Lud odsunął się od niego teraz nie dla tego, żeby „chłopu było lepiej", lecz żeby lepiej było narodowi.

— — — — — — — — — — — —

Zbiegły się trafem w tej Widowni dwa zjawiska historyczne: Balicki i Popławski. Obie sprawy, które z ich nazwiskami się związały: sprawa ludu i sprawa żydowska pozostały w podłożu życia i wynurzyły się po wojnie w stanie dojrzałości.

Nie wszystko w Polsce zaczęło się na nowo. Nurty narodowe są stare, przychodzą tylko ludzie „nowi", nie pomni dziejów i swego obowiązku traktowania na serio sprawy narodu. Tym się zdaje, że gdy staną „frontem do ludu", a tyłem do sprawy żydowskiej, to robią coś twórczego. Poprostu nie umieją się odpowiednio zachować w dziejowej sytuacji.

Trzeba stawać frontem do n a r o d u.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

POMNIK WOJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO. Na placu Teatralnym w Warszawie u fasady Teatru Wielkiego stanął pomnik Wojciecha Bogusławskiego, twórcy nowoczesnego teatru polskiego. Nalegali na to artyści dramatyczni, a myśl pomnika znalazła uznanie w opinii całej Warszawy i całego kraju.

W dn. 27 b. m. nastąpi odsłonięcie pomnika, po czym akademia, wreszcie uroczyste przedstawienie widowiska dramatycznego p. t. „Bogusławski", napisanego przez ś. p. Wincentego Rapackiego, słynnego aktora warszawskiego, czciciela tradycyj teatru polskiego.

Głównym dziełem Wojciecha Bogusławskiego (1760—1829) była sztuka wodewilowa „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale", wystawiona po raz pierwszy w marcu 1794.

Znany badacz literatury, prof. Eugeniusz Kucharski w komentarzu do poprawnego wydania tekstów tej sztuki (1923) zwrócił uwagę na znaczenie tego utworu w dziejach porozbiorowych. Po przez stulecie Bogusławski podaje rękę Wyspiańskiemu:

„Nie jest to tylko zbieg okoliczności lub prosty przypadek, ale naturalny wykładnik naszego dziejowego losu, że u dwu przeciwległych brzegów polskiej niedoli i niewoli stają, niby dwa słupy graniczne, dwa dzieła teatralne, które mimo olbrzymią różnicę wartości artystycznej, obrały sobie za miejsce akcji wieś podkrakowską, rozgrywają sią na tle weselnym wśród krakowskiego ludu, połyskują błękitem krakowskich sukman i tęczą piór pawich, rozbrzmiewając melodią weselnego grania—Bogusławskiego „Cud mniemany" i Wyspiańskiego cud istotny, „Wesele".

„Pierwsze proste, naiwne, czasem artystycznie niedołężne, ale jakby oblane ostatnim słońcem dogasającej Rzeczypospolitej, tętniące wiarą w przyszłość, a pełne zaufania w los i ten lud, który wyprowadza na scenę — drugie artystycznie wymyślne i wytworne, ale z mroków długiej niewoli idące i w noc listopadową rzucone, przy całej żarliwej tęsknocie za „Polską żywą", wezbrane niepokojem, goryczą, zgryzotę o ojczyznę, pełne kurczowego lęku o los i róg złoty w rękach Jaśka z pawim piórem".

„Ta łączność „Wesela" z „Cudem" przez Wyspiańskiego nie zamierzona i dlań bez wątpienia nieświadoma, jest następstwem stanowiska, jakie twórca „Wesela" zajął wobec polskiej świadomości zbiorowej. W swym dziele wyzwał na walkę i starał się przezwyciężyć to, co w skrytkach duszy polskiej żyło jako marzenie i rojenie o ojczyźnie, jako legenda o jej zmartwychwstaniu. A to marzenie o Polsce, ten „dźwięk z polskiej gleby, bólem i rozkoszą wykołysany" narodził się na sto lat z górą przed „Weselem" na scenie Bogusławskiego i dzięki jego sztuce splótł się w wyobraźni zbiorowej nierozerwalnie z malowniczym obrazem krakowskiego ludu".

„Była to sztuka, która przedziwnie utrafiła w ton duszy narodu przed powstaniem Kościuszki, a po powstaniu, gdy zawiodły nadzieje, ale nie zawiodło jej przeczucie o ludzie, stała się wyra-

zem narodowych uczuć, wtórem polskich pragnień, porywów i tęsknot w dobie niewoli. Z niej rosła wiara, że „lud kmiecy dźwignie Polskę swemi plecy", dzięki niej w odczuciu ogółu tak silnie zespoliło się na przeciąg całego wieku XIX pojęcie gorącego patriotyzmu z szczerym demokratyzmem".

„PRASA POLSKA PRZEMILCZA I BOJKOTUJE ODBYWAJĄCY SIĘ OBECNIE WIELKI MIĘDZYNARODOWY KONGRES POKOJOWY W BRUKSELI" — skarży się w „Wiadomościach Literackich" specjalista od humanitaryzmu i pacyfizmu p. Antoni Słonimski. Podzielamy tylko w połowie żale „kroniki tygodniowej". Istotnie, niedobrze, że prasa przemilcza, dobrze natomiast, że bojkotuje t. j. nie objawia sympatyj dla tego przedsięwzięcia.

Posłuchajmy chociażby tylko informacji p. Słonimskiego:

„Kongres ten jest potężną międzynarodową manifestacją antywojenną, łączy biskupów z przedstawicielami kominternu, inwalidów wojennych z delegatami związków młodzieży, robotników portowych z profesorami uniwersytetu".

Inna informacja:

„Komuniści" robią teraz w pacyfizmie z niesłychanym zapałem i karnością. Zgodne konferencje komunistów z metodystami i biskupami katolickimi przypominają sceny z komedyj de Flersa".

P. Słonimski dziwuje się:

„Dość zabawna jest zmiana ról w stosunku do pacyfizmu. Komuniści popierają do niedawna wyszydzany pacyfizm, natomiast socjaliści polscy odwracają się od niego wzgardliwie".

Parę cennych zdań. Tylko trzeba znać metody działania komunistycznego. Komuniści mają jasno i wyraźnie wyznaczony cel, mają koncepcję, do której dążą wszelkimi możliwymi drogami.

W ostatnich instrukcjach danych „jaczejkom" całego świata, instrukcjach które poparciem „frontu ludowego" pragną przygotować „czerwoną rewolucję", czytamy, iż należy głosić zasady demokracji, liberalizmu.

Demokracja!.. Lenin w swych pismach wyraźnie się od niej odciął, stojąc na gruncie ustroju elitarnego.

Liberalizm!.. Spójrzmy na ostatni proces moskiewski i na masowe, związane z nim aresztowania, represje.

Tak też rozumieć trzeba komunistyczną propagandę pacyfizmu:

„VII Kongres Międzynarodówki komunistycznej postanowił użyć sztandaru antywojennego, jako skutecznego środka skupienia niekomunistycznych mas do wspólnej z komunistami, i pod ich komendą, akcji. W uchwałach kongresu czytamy: „Komuniści winni przyciągać do współpracy wszystkie organizacje pacyfistyczne, gotowe do odbycia z nimi razem chociaż części drogi".

Sprawa jasna, a sceny przypominające p. Słonimskiemu komedie de Flersa nam się rysują w innej, daleko poważniejszej formie. Nieświadome przebycie, łącznie z akcją komunistyczną, chociażby części drogi jest wprawdzie „winą niezawinioną" niemniej jednak winą. Perfidia w gruncie rzeczy nieskomplikowanej taktyki komunistycznej nie omija nawet okazji do podstępnego, chwilowego przymierza z największym swoim wrogiem — sferami katolickimi.

Jeśli się nawet, skutkiem nieporozumienia, spotka ktoś, kto je reprezentuje, z przysięgłymi komunistami, to nie jest jeszcze powód do triumfalnego, acz i satyrycznego śmiechu felietonisty „Wiadomości". Tak — „triumfalnego", bo w gruncie rzeczy, mimo zastrzeżeń przebija tam ton zadowolenia:

„Podstawowe wytyczne kongresu, to walka o „zbiorowe bezpieczeństwo dla wszystkich ludów" i „zniesienie prywatnego przemysłu wojennego". Wydawać by się mogło, że nikt bardziej niż Polska nie powinien popierać krzewienia tych haseł. Tymczasem nasze czynniki miarodajne odnoszą się z niezrozumiałą niechęcią do prac komitetu polskiego i do samego kongresu. Stosunek prasy do zjazdu brukselskiego jest poprostu barbarzyński"...

„Barbarzyński"!.. — Bardzo surowo kwalifikuje p. Słonimski i prasę polską i oficjalny kierunek naszej polityki zagranicznej...

NAUKA i LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

„Kurier Poznański" dla upamiętnienia daty 30-lecia swego wydawnictwa, wydał w dn. 20 września jubileuszowy numer, niezwykle bogaty pod względem literackim. Zamieścili w nim swoje artykuły członkowie redakcji: Marian Seyda, dyr. R. Leitgeber, W. Noskowski, C. Rydlewski, Cz. Kędzierski, R. Fengler, S. Wyrzykowski; ponadto: X. Prądzyński, R. Rybarski, B. Wasiutyński, Z. Wasilewski, S. Pieńkowski, A. Nowaczyński, jen. Michaelis, B. Winiarski, K. H. Rostworowski, P. Kownacki, M. Kozłowski, M. Loret, Magdalena Samozwaniec, M. Briares, Świnarski, B. Leitgeber i w. in. pisarzy z całego kraju.

Trudno w tym nawale materiału się rozczytać. Zanotujemy tylko jedno. Korespondentka paryska „Kuriera" p. Briares sygnalizuje, że w prasie paryskiej daje się odczuć ważny przełom. Kierunek czysty informacyjny (reportażowo-sensacyjny) już się przeżył. Dzienniki nie mogą już konkurować z radiem i z kino, nastąpiło zresztą znużenie ciekawości. Publiczność pragnie instrukcji, poważnej oceny, zatęskniła do tego, co jest prawdą społeczną i moralną, obudził się głód idei. Przeholowano w dążeniu do ogłupienia opinii. Następują czasy serio. Pokazuje się, że czas pracował na zwycięstwo prasy narodowej.

Organem serio był zawsze „Kurier Poznański". On nie straci na poczytności, owszem zyska w miarę, jak opinia przezwyciężając gnuśność, oczyszczać będzie atmosferę Polski z kłamstwa.

Bratniemu organowi życzymy nadal powodzenia w pracy, tak umiejętnie i żarliwie dokonywanej.

*

W wydawnictwie redagowanym przez prof. Fr. Bujaka wo Lwowie p. t. „Badania z dziejów społecznych i gospodarczych", ukazała się, jako tom 30-ty, praca prof. Romana Rybarskiego p. t. „Kredyt i lichwa w Ekonomii Samborskiej w XVIII w." (Lwów 1936. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego w Warszawie. Str. 130).

Ekonomia Samborska była największą w Polsce królewszczyzną. Za punkt wyjścia mozolnej pracy prof. Rybarskiemu posłużyła relacja konsyliarza Augusta III, J. B. Borlacha, wysłanego 1746 r. na rewizję tej królewszczyzny. Pisał on:

„*Turbidi interregnorum status*, podczas których ubogim ludziom, cokolwiek tylko *possident*, wszystko zabierają, w długi poddanych wprowadziły. Nieurodzaje od lat kilku nie dały im przyjść do siebie, a dzierżawcy, którzy nie dbając nic na to, tyle wyciskali, ile sobie wybrać obmyślili, jeszcze ich w większe długi wpędzili. Połowa Ekonomiej

w zastawach *haeret*, a poddani królewscy już owym ludziom daleko większe czynsze i powinności płacić i odbywać muszą, aniżeli do Ekonomiej na Skarb królewski. Jeżeli jeszcze dłużej tak będzie, tedy przejdzie Ekonomia w cudze ręce, a nakoniec do kasy królewskiej nie będzie z niej czego wybrać".

Zadaniem prof. Rybarskiego było przestudiować archiwa Królewszczyzny, wyszperać cyfry i dokumenty, ułożyć odpowiednie tablice, aby odtworzyć obraz tego ponurego stanu rzeczy. Studia te wykazały, że poddani w Królewszczyźnie nie byli dostatecznie strzeżeni od lichwy. Posiadacze dóbr ziemskich i duchownych w interesie własnym strzegli, aby poddany nie miał innych panów nad sobą. Tutaj wkradała się lichwa i, jak się pokazuje, wioski i miasteczka pracowały nie na króla, lecz na lichwiarza.

Bardzo interesujące studium.

*

W ostatnich czasach zaczęła szybko się powiększać biblioteka materiałów epistolarnych do dziejów literatury polskiej. Notowaliśmy niedawno pierwszy tom listów Mickiewicza w wydaniu Sejmowym a w opracowaniu prof. Pigonia. Pracy Pigonia zawdzięczamy zbiór listów Norwida, który teraz jest do nabycia w „Myśli Narodowej". Prof. Pigoń kończy obecnie druk listów S. Goszczyńskiego. Wydaje je Akademia Umiejętności. Zbiór obejmie około 400 stron druku.

Wkrótce też ma dojść do skutku wydanie listów Wyspiańskiego. Przygotowują ten zbiór do druku J. Dürr i L. Płoszewski.

Stan. Helsztyński zgromadził listy Przybyszewskiego, obejmujące kilka tomów, gotowych już do druku. Na razie brak wydawcy.

W tych dniach rozesłano prospekt na prenumeratę listów Orzeszkowej, które wyjdą nakładem Tow. im. Orzeszkowej w opracowaniu L. B. Świderskiego pod kierunkiem prof. Ujejskiego. Zbiór obejmie 4 tomy. Jeden tom w subskrybcji kosztuje tylko zł. 4.—, od 15 października r. b. w księgarniach zł. 7.—. w oprawie o zł. 1.40 drożej, przesyłka 60 gr.

Zamówienia przysyłać należy zaraz do Tow. im. Orzeszkowej w Warszawie, Jasna 6 m. 8, przy wpłaceniu kwoty za tom pierwszy (konto P. K. O. 209); za dalsze tomy — wpłaca się co miesiąc.

FILM

CAPITOL: „Trędowata", reż. J. Gardan.

Mogła sobie Magdalena Samozwaniec dowoli używać na „Trędowatej", bo to był wdzięczny temat, ale sparodiować film, na tej powieści oparty, byłoby znacznie trudniej, gdyż co tu dużo gadać — filmowa przeróbka „Trędowatej" wypadła wcale nieźle. Jest to utwór filmowy wykonany bardzo starannie i kulturalnie i przy tym — rzecz ważna — skomponowany dobrze jako całość, ma zapewne i partie słabsze, ale nie ma miejsc pustych, które w innych filmach krajowej produkcji łata się byle czym.

Oczywiście „trędowaty" temat pozostał, ale fabuła, nie opowiedziana stylem, który tak zabawnie wykpiła Samozwaniec, lecz podana w zupełnie kulturalnej i pełnej umiaru formie filmowej, inne już robi wrażenie. Nieszczęśliwa miłość Stefci Rudeckiej, „od hrabiów wzgardzonej", nie bardzo nas przejmuje, gdyż obecnie hrabiowie bardzo chętnie żenią się z baletnicami, wobec czego ożenek z nauczycielką, ze szlacheckiej, ziemiańskiej rodziny, nie może już uchodzić za mezalians. Ponieważ jednak szablon typu arystokraty należy do najbardziej stałych i ulubionych szablonów, ekranowe dzieje pięknej „trędowatej" wzruszają do głębi wszystkie szwaczuchny na widowni i przynajmniej połowę pensjonarek. Dla autorów filmu, a zwłaszcza dla wytwórni jest to argument nie do pogardzenia.

Kulturalniejszy, dorosły widz pozostawi te wszystkie kwestie na uboczu i zadowoli się dobrym wykonaniem filmu, który z miejsca bierze dobre tempo. Krótkie sceny i scenki, pojedyńcze obrazy zostały zręcznie przemieszane z sobą, tak iż każda z nich posuwa akcję naprzód. Udatny również jest montaż, choć czasem szyty może trochę za wyraźnym ściegiem.

W montażu i w pomysłach reżyserskich nie brak koncepcyj szczęśliwych (mniejsza o to czy pożyczanych), nie rzadko subtelnych, nie raz dowcipnych. Przytoczymy niektóre z nich. W jednej ze scen widzimy, jak odpalony i zdemaskowany konkurent (czarny charakter) zaciska w gniewie pięść. Reżyser pokazuje nam t. zw. zbliżenie tej pięści. W następnym obrazie ręka (ciągle jeszcze w zbliżeniu) sięga po nóż, leżący na stole. Ha — myśli sobie w tym miejscu przynajmniej połowa widowni — za chwilę krew się poleje. Tymczasem — nic podobnego: to pani Ćwiklińska w roli hrabiny, czytającej zachłannie francuskie romanse, sięgnęła po nóż do rozcinania kartek. A oto zakończenie: na łóżku leży zmarła przed chwilą Stefcia, obok klęczy pogrążona w modlitwie rodzina. Po tym widzimy na pół uchylone okno, w oknie firankę. Reżyser tępak pokazałby oczywiście, jak dusza Stefci, w postaci widma, uchodzi przez okno. Tu mamy tylko lekkie drgnienie firanki. Może to wiatr... I domysł nasz jest tak nikły, jak nikłe może być samo wyobrażenie duszy.

Jeśli mowa o wadach, zarzuciłbym filmowi pewne ubóstwo ujęć fotograficznych niektórych scen, zwłaszcza scen końcowych, w domu rodziców Stefci. Reżyseria jest jednak zawsze bardzo staranna i dzięki niej nawet tak prosta, prawie uboga, scena, przy łóżku zmarłej, ma niezafałszowany ton uczuciowy.

Dialogów oczywiście dużo.

Młoda, piękna i utalentowana aktorka, panna Barszczewska, b. subtelnie opracowała swą rolę „trędowatej." W niektórych niuansach gry było może trochę za dużo teatralnej szkoły, ale zawsze była to szkoła dużej klasy. Ordynata zagrał Brodniewicz, operując głównie atutem swej urody.

Ze scen zbiorowych niezbyt udała się scena arystokratycznego balu. Arystokratów przezornie nie pokazywano. Jeden, pokazany, wyglądał na rzeźnika.

PAN: „Bolek i Lolek", reż. Waszyński.

Można mieć przepis na znakomite ciastka. Można mieć przepis na dobrą komedię, lub farsę. Żeby jednak ciastka naprawdę były do jedzenia, a komedia naprawdę zabawna, sam przepis nie wystarczy. Waszyński operuje znakomitym komikiem Dymszą, ale nie umie operować dowcipami. Wiadomo, że z tego samego „kawału", opowiedzianego przez tę samą osobę, raz się ludzie śmieją, a innym razem kawał nie chwyta. Nie jeden z nas doświadczył tego na sobie. To tylko dowód, na jak subtelnych nieraz efektach wspiera się dowcip. Waszyński nie umie być subtelny i operuje nieoszlifowanymi pomysłami wedle najtańszej recepty. Ostatecznie „Bolek i Lolek", film na trójkę z plusem, o demokratycznych tendencjach, może być rozrywką dla mniej wybrednych szerszych mas. Najlepszy jest początek, jakaś $^1/_4$ filmu, w której obchodzi się bez zbytniego gadania i wszystko tłumaczy się samo, w filmowy sposób.

CASINO: „Fredek uszczęśliwia świat" reż. Ziembiński.

Zupełny kryminał, Ani scenariusza, ani reżyserii. Nuda. Fotografie aktorów, którzy siedzą i jedzą, krzyczą i ryczą, maszerują, klepią się i wyrabiają brewerie.

To wszystko miało nadać filmowi t. zw. życie. Niestety te krzyki przeszkadzały mi spać.

KANDYD

OD WYDAWNICTWA

Zbliża się początek KWARTAŁU IV, inauguracja sezonu jesiennego i zimowego, kiedy każdy zaopatruje się na długie wieczory w pożyteczną lekturę.

Zmienia się też potrochu sezon polityczny.

Nie może przecież to długo trwać, aby nie wolno było posługiwać się jawnie narodowymi motywami myślenia i działania. „MYŚL NARODOWA" powinna się znaleźć na stole każdego ideowego pracownika myśli polskiej.

Wydawnictwo prosi o WCZESNE przysyłanie prenumeraty i o jednanie nowych odbiorców spośród znajomych.

W zeszłym tygodniu dołączyliśmy do każdego numeru odpowiedni na ten cel przekaz.

POKŁOSIE

Z POWODU ROCZNICY „KURIERA POZNAŃSKIEGO"

Tydzień temu „Kurier Poznański" obchodził trzydziestolecie swego istnienia, a świat dziennikarstwa narodowego powinien rozważyć sobie pilniej tę rocznicę. Zaczęło się od małego dziennika, drukowanego na płaskiej maszynie: a dziś jest to potężna placówka publicystyczna, rozporządzająca pięcioma poczytnymi pismami, zaopatrzona we wszystkie nowoczesne środki techniczne. Wzrost ten nastąpił, mimo że wydawnictwo nigdy nie było traktowane przez inicjatorów jako „interes", lecz zawsze jako przedsięwzięcie ideowe, mające na celu przedewszystkiem służbę narodowi.

Wydawnictwa prasowe na Zachodzie poszły za ogólną materialistyczną tendencją wieku, stały się przedsiębiorstwami przemysłowo-handlowymi, jak każde inne, idea służby publicznej zeszła na dalszy, nieraz zupełnie niewidoczny plan, chodzi bez porównania częściej o wyzyskanie istniejących w społeczeństwie prądów w celu lepszego nabicia sobie kabzy, niż o obronę, propagowanie i pogłębianie pewnych ideałów. Stąd mamy przykłady wielkich „koncernów" prasowych, wydających pisma o różnych, sprzecznych kierunkach. Kapitalista wynajmuje ludzi, aby pisali w jednym dzienniku tak, w innym inaczej i w ten sposób ciągnie zyski z rozmaitych dążeń i różnych warstw społeczeństwa. Komercjalnie proceder taki może niewątpliwie dawać wielce lukratywne rezultaty, jak na tym wychodzi interes ogólny, to sprawa inna i jak obecnie, to mało zaprzątająca sobą umysły, mimo iż jest niewątpliwie jedną z ważniejszych przyczyn dzisiejszego chaosu światowego.

Profesja publicysty doznała niewątpliwie w takich warunkach poniżenia, a na pierwszy plan wszędzie zamiast redakcji wysuwa się kierownictwo handlowe i agent ogłoszeniowy. Redaktor z pierwszej osoby w wydawnictwie stał się podwładnym „dyrektora", którego jedyną zdolnością i zaletą jest niejednokrotnie tylko umiejętność zręcznej gry giełdowej.

Wina za taki anormalny rozwój stosunków nie spada jednak wyłącznie na kapitalistyczne pojmowanie zadań przez wydawców. Zawinili też sami dziennikarze i publicyści, rezygnując ze swego „powołania", a kontentując się nadaniem swemu zajęciu charakteru „rzemiosła". W ten sposób stało się możliwe, jak u owych seminarzystów rosyjskiego satyryka, pisanie według nakazu „albo o szkodliwości oświaty, lub też o jej pożytku".

Oczywiście, pracownik jest często słabszy od pracodawcy i nie raz musiał by wykazać dużo hartu ducha w obronie swej niezależności. Uciekają się też pracownicy pióra, podobno jak pracownicy fizyczni, do pomocy organizacji tworząc związki zawodowe. Ale właśnie popełniają błąd kładąc materialistyczną modą cały prawie nacisk na obronę „zawodu", jego warunków materialnych, a pomijając prawie całkowicie obronę „profesji". Osłabiają w ten sposób swoje stanowisko pisarzy niezależnych, bo nawet mało widać, że do tej niezależności dążą i ją cenią. Dość powiedzieć, że w kołach ujarzmionego przez kapitał dziennikarstwa francuskiego uważane jest za ideał wprowadzenie do obowiązującego prawa przepisu, któryby pozwalał członkowi redakcji opuścić pracę bez wypowiedzenia w razie przejścia wydawnictwa w inne ręce i nie tracić przy tym należnego odszkodowania.

U nas przez czas długi stosunki były normalne. Wydawnictwa dzienników rzadko kiedy bywały dobrym interesem handlowym, podejmowane więc były częściej niż gdzieindziej przez stronnictwa polityczne, lub przez zespoły jednostek, związane ideowo. W takich warunkach powołanie publicysty mogło się ostać. Jednakże w ostatnich latach stosunki te zaczęły się zmieniać na niekorzyść, wydawnictwa podejmowane dla interesu mnożą się i zaczynają nadawać swój ton całemu zawodowi. Preponderancja czynnika handlowego nad redakcyjnym jest już w wielu wypadkach niewątpliwa, a sprzedaże wydawnictw z całym że tak powiemy inwentarzem, żywym i martwym, nie są wprawdzie jeszcze częste, jednak się zdarzają.

Pracownicy pióra są u nas już onieśmieleni i spychani z należnego im stanowiska. Jeżeli się nie ockną na czas, zostaną ujarzmieni bez ratunku, jak to się stało gdzieindziej. A byłoby to klęską nie tylko ich osobistą, lecz ogólną, bo nie jest bynajmniej dla narodu obojętne w jakich warunkach pracują ci, którzy na kształtowanie się opinii tak wielki wpływ wywierają.

Przykład pomyślnego rozwoju „Kurjera Poznańskiego", prowadzonego przez grupę ideową, powinien stać się podnietą do stworzenia organizacji ideowych publicystów narodowych, organizacji, która dawno już powstać powinna.

ARGUS

NA MARGINESIE

Ciężki kryzys godności ludzkiej doprowadził do takie dewalucji moralnej, że ludzie tęsknią do bata i do buta któryby ich deptał.

Byłoby to jednak beznadziejne dopiero wtedy, gdyby powoływani do roli fetysza kandydaci chcieli się ubiegać o tak łatwe rozkosze panowania.

*

Neależłoby w drodze ankiety zbadać opinię rodziców, wychowawców i prawników, czy biurokracja ma prawo dla robienia entuzjazmu musowego posługiwać się dziećmi, oddanymi do szkół, jako materiałem baletowym podczas uroczystości ulicznych. Nie pożyczamy dzieci państwu, lecz je powierzamy do edukacji. I wogóle zadużo kwiatków.

*

Wieś polska śpiewa figlarną pieśń o sanatorze:

On do mnie jak kogucik.
Ja—do niego, a on ucik.

*

Z rubryki „Pożyteczne wiadomości" do Kalendarza na sezon 1936/7.

P. Co to jest „Front Morges"?

O. Front Morges, oznacza to samo co „front ludowy" tylko na „biało" nie na „czerwono".

P. Jaki jest główny organ „frontu"?

O. „Odnowa".

P. A. co we „froncie" i w tym jego organie robi p. Henryk-Rykten-Tennenbaum?

O. On wie najlepiej, co on tam robi...

*

P: Co wiadomo o „nowym" obozie p. pułk. Koca?

O. Że będzie katolicki, narodowy i antysemicki.

P.?

O. Tak jest. Katolicki, narodowy i antysemicki Oczywiście — inteligentnie i bez demagogii. W czynach, nie w słowach. W duchu entuzjazmu państwowo-twórczego, popartego w razie potrzeby przymusem. No i na podstawie ścisłej równowagi wchodzących czynników ideowo-personalnych.

O. Jak to będzie wyglądało w praktyce?

O. Będzie realizowany nacjonalizm — dla równowagi, bez nacjonalistów. Katolicyzm, o ile się da, bez katolików. A za to antysemityzm — także dla równowagi — z udziałem nieodzownych zresztą dla powodzenia akcji, fachowo uzdolnionych i inteligentnych żydów.

P. Gdzie można uzyskać bliższe informacje o nowym obozie?

O. W Biurze Akcji i Planowania, które, jak zapewniają, ma być wkrótce przemianowane na Biuro Kombinacyj Ideowych i Koncesyj Personalnych.

*

W żydowskim piśmie „5 rano" „zarzucił" niejaki Manes Fromer bohaterskim kadetom Alkazaru, że „kryją się za spódnicami kobiet i liczkami dziecinnymi" a imponujące zjawisko obrony starożytnej cytadeli nazwał „awanturką".

Żydzi nie znają innej walki poza „awanturkami", w których najwyżej dostają laskami po karku. Bohaterstwo jest poprostu poza ich świadomością. Nie rozumieją.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.